

Artur Górski  
Świadek śmierci lustra  
powieść

2

Lustro, w którym Karol przeglądał się z rana, było pęknięte. Prawdopodobnie pękło w nocy, bo jeszcze poprzedniego wieczoru, gdy Karol szykował się do snu i swemu odbiciu mówił dobranoc wszystko z lustrem było w porządku. Z nie było jakim lustrem – starym, solidnym, kryształowym, z nacięciami w kształcie kwiatów, w masywnych drewnianych ramach. Takie lustro nie pęka ot, tak sobie – trzeba by nim cisnąć o podłogę i to ze sporej wysokości. Albo uderzyć czymś ciężkim.

Karol kupił sobie to lustro poprzedniego dnia; pierwszy prezent sprawiony samemu sobie z okazji wprowadzenia się do nowego mieszkania. To znaczy nowego dla Karola, bowiem samo mieszkanie, a właściwie jeden pokój z łazienką, kuchnią i olbrzymim korytarzem było bardzo stare: mieściło się w kamienicy, pamiętającej drugą połowę dziewiętnastego wieku.

Widok w lustrze też nie do końca odpowiadał rzeczywistości. To znaczy sam Karol był taki jak zwykle: pociągła twarz, wąskie usta, duży orli nos, ciemne oczy, przy czym jedno nieco mniejsze od drugiego, czarne włosy. Ale pokój bardziej przypominał jakąś rupieciarnię, jakiś lamus, z rzeczami starymi, ale nie określonymi. Była tam komoda, coś w rodzaju połamanego krzesła, wazon, a wszystko to za mgłą pajęczyny, ale równie dobrze mogło to być czymś zupełnie innym. Karol, którego odbicie przepolawiała rysa na szkłe, nachylił się w stronę lustra, jakby chciał znaleźć się w tej dziwnej scenerii. Wtedy rupieciarnia znikła, ustępując miejsca łóżku, skórzanemu fotelowi i mosiężnej lampie – niemal jedynym sprzętom, znajdującym się w mieszkaniu.

Karol nie miał czasu na zastanawianie się nad tym dziwnym zjawiskiem, tym bardziej, że rano – gdy senne zwidy dopiero zaczynają opuszczać umysł niedawno obudzonego człowieka (dodajmy, że lekko skacowanego) – świat niekiedy wydaje się nierzeczywisty. Szybko ogolił się, zrezygnował ze śniadania i w błyskawicznym tempie wdział swój szary, jednorzędowy garnitur. Lubił w nim chodzić do pracy – nie odróżniał się wtedy od reszty męskiej części personelu, ale miał poczucie dyskretnej elegancji. Już na schodach zawiązał szary krawat w białe prążki i zbiegł na dół.

\*\*\*

Matylda, w odróżnieniu od Karola, nie miała żadnej pracy. Trudno powiedzieć, że była bezrobotna – po prostu nigdy nie szukała żadnego płatnego zajęcia, nie przyszło jej do głowy, by mogła pojawić się w jakimś budynku, gdzie przez wiele godzin musiałaby wykonywać czyjeś polecenia. Kilka miesięcy wcześniej otrzymała w spadku po bogatej ciotce tyle pieniędzy, żeby nie myśleć o owych budynkach, w których nieszczęśnicy, ubrani w szare garnitury czy żakiety tego samego koloru pędzą po korytarzach z obłędem w oczach i papierami w rękach. Miała zagwarantowaną wolność na następnych kilka lat; źródło, jakim obdarzyła ją odchodząca w niebyt ciotka nie było, rzecz jasna, wieczne, ale wystarczająco obfite.

Toteż Matylda oddawała się swojej największej pasji, jaką było obserwowanie pociągów. Rodzina patrzyła na nią jak na niespełna rozumu, kiedy postanowiła kupić sobie liche mieszkanko w starej, dziewiętnastowiecznej kamienicy tylko dlatego, że jego okno znajdowało się o kilka kroków od torów kolejowych. A stać ją było, oczywiście, na wielki apartament w najlepszej części miasta, z wszelkimi wygodami, z oknem na miejski park, a nawet pałac. Ale Matylda nie oczekiwała od życia tradycyjnych wzruszeń estetycznych, nie pragnęła wpatrywać się ani w szumiące platany i topole ani oglądać organizowane w pałacu imprezy „światło i dźwięk”. Ją pociągał pociąg – od lokomotywy, poprzez perony po megafony,

3

zwiastujące nadciągający skład. Na ścianie jej mieszkania wisiały reprodukcje obrazów belgijskiego malarza Paula Delvaux, który dzielił tę pasję; jego płótna były dziwną mieszanką wszystkiego, co kojarzy się z koleją i erotyzmem. Na obrazach Delvaux często widzimy nagie kobiety, przechadzające się obok lokomotyw, jakby w poszukiwaniu siły, której nie dostarczy

żaden mężczyzna. Matylda była właśnie taką kobietą z obrazu, choć belgijski mistrz nigdy jej na swej drodze nie mógł spotkać. Była nawet podobna do kobiet z obrazów Delvaux – blondynka o pociągłej, smutnej twarzy, brązowych oczach, wечно wpatrzonych w nieokreślony punkt na horyzoncie.

Matylda tworzyła ostatnie dzieło tego malarza, tyle, że nie na płótnie, a w rzeczywistości. Ona była uczniem w jego szkole, jego epigonem.

Była też sąsiadką Karola, ale na razie nie znają się – spotkali się raz na schodach, ale nawet nie powiedzieli sobie „dzień dobry”.

\*\*\*

Stefan przed niespełna rokiem zawiązał małżeński węzeł z niejaką Cecylią. Od lat marzył o tym, by stać się mężem tej kobiety, dzielić z nią, niczym w filmach i książkach o miłości, dobre i złe dni, chwile piękne i ponure. Cecylia dała mu to, czego chciał, choć tylko w części – ponure dni stały się codziennością ich związku. Toteż dość szybko ów węzeł został przecięty. Cecylia pozostała w ich pięknym mieszkaniu na obrzeżach miasta, natomiast Stefan w wyniku podziału majątku stał się posiadaczem szerokiego łóża, telewizora oraz stojącego wieszaka na ubrania. Skarby te należało ustawić w jakimś, choćby najmniejszym pokoju, więc Stefan przyjął ofertę rodziny pewnej zmarłej niedawno kobiety i wynajął mieszkanie, w którym cieszyła się niegdyś życiem, by z godnością przyjąć decyzję natury o własnej śmierci. Prawdę powiedziawszy – zależało mu właśnie na tym, a nie innym mieszkaniu. Czekał, aż nadarzy się odpowiednia chwila, by zapytać właścicieli, czy przypadkiem nie zamierzają wynająć, bądź sprzedać ten kawałek podłogi. I nadarzyła się – spadkobiercy poprzedniej mieszkanki natychmiast dokonali ze Stefanem transakcji. Dlaczego to mieszkanie? Stefan miał swoje powody. Ów pokój mieścił się w niezbyt pięknej, choć zabytkowej kamienicy niedaleko stacji kolejowej; tchnęło z niego radością życia i mistyką śmierci. Stefan sam pomalował niewielki pokój białą farbą, zapastował zniszczony parkiet i uroczyście ustawił na nim wieszak, łóżko i telewizor. Pokój, choć mały, nadal wydawał się pusty. Nie zraziło to Stefana – bądź co bądź przyszłość należała do niego, nawet jeśli na razie rysowała się wąską kreską na wodzie. Pierwszego dnia po wprowadzeniu się do owego pokoju kupił sobie reprodukcję obrazu nieznanego autorstwa, przedstawiającego Rebeke przy studni. Wkręcił śrubę w ścianę – wydało mu się zresztą, że przebił ją na wylot, ale czy to możliwe przy tak grubych murach? – i zawiesił swój nabytek. Potem jeszcze kilkakrotnie dokręcał śrubę, zmieniał ją na większą mocniejszą. Wkrótce zdejmie ze ściany Rebeke, pozostawiając samą śrubę. Ta śruba odegra w życiu Stefana ważną rolę...

Stefan był suflerem, pracującym wieczorami na zlecenie. Szukał zatem bardziej popłatnego zajęcia, nawet poza teatrem (nawiasem mówiąc nigdy nie był wielbicielem tej muzy).

Poza tym był sąsiadem Karola i Matyldy. Widywał ich na schodach, ale oczekiwał, że każde z nich będzie mu się kłaniało jako pierwsze. Był przecież o wiele lat starszy, co było widać na pierwszy rzut oka. Starszy i zmęczony życiem – tego też nie dało się ukryć.

4

\*\*\*

Karol doszedł do centrum na piechotę. Mógł wprawdzie dojechać autobusem, ale były to tylko dwa przystanki, więc kupowanie biletu wydało mu się rozrzutnością. Centrum miasta – nie największego w kraju, ale z pewnością jednego z większych – miała charakter biurowego city. Stało w nim kilka drapaczy chmur, wysokich na trzydzieści pięter (a i wyższych), eleganckie hotele kusily przyjezdnych efektownymi fasadami i parkingami, pełnymi najlepszych aut. Karol marzył o posadzie w jednym z tych biurowców, ale na razie musiał się zadowolić etatem w niższym budynku, zwieńczonym pretensjonalną, pseudoklasycystyczną fasadą. Był to miejski teatr – w stolicy wyśmiewany, jako prowincjonalna buda, zaś tu traktowany, jako świątynia sztuki. Repertuar teatru był rzeczywiście ambitny – grywano tu z równym powodzeniem Szekspira i Racinea co Tennessee Williamsa i Rolanda Topora. Karol piastował tu stanowisko księgowego, nie głównego wprawdzie, ale jednego z najbardziej zaufanych szefa teatralnych finansów. Szefowi podobało się, że Karol traktuje pracę w teatrze niczym posadę w banku czy na giełdzie. Owszem, tak jak wszyscy pojawiał się co rano w swym szarym garniturze, ale bardziej,

niż inni przywiązywał wagę do detali: miał lepszy i lepiej zawiązany krawat, zawsze wypastowane buty i sztywną od krochmalu białą koszulę, do której zresztą czasami zakładał spinki z malachitowymi oczkami. Starzy pracownicy teatralnej administracji wyśmiewali po cichu te przyzwyczajenia Karola, sądząc, że zabiega on o względy dyrekcji i awans w najbliższej przyszłości, ale nie mieli racji. On po prostu przywiązywał dużą wagę do prezencji, a poza tym niezwykle podobała mu się pewna młoda aktorka, o której zrobiło się głośno w mieście, gdy zagrała rolę Julii. Gdy tylko miał na to czas, zakradał się za kulisy podczas prób i z ukrycia przyglądał się grze swojej lubej. Nie znosił scen, gdy całowała się z innym aktorem (a przecież w „Romeo i Julii” trudno pominąć sceny miłosne), ale cieszył się, gdy potem wycierała z niesmakiem usta. Nie ośmielił się jednak podejść do niej i wyznać swoich uczuć.

\*\*\*

Wprawdzie najbliżsi uważali kolejową namiętność Matyldy za objaw jakiejś choroby umysłowej, albo emocjonalnego niedowartościowania, a w najlepszym wypadku kaprys zamożnej pani, w jej postępowaniu było sporo racjonalnej kalkulacji. Odrzuciła bowiem te uciechy, które przeważnie stają się udziałem jej rówieśnic (także obdarzonych spadkami), a wymyśliła sobie własną drogę do szczęścia i uczuciowego spełnienia. Naiwnością było twierdzić, że lokomotywa ucieleśniała jej erotyczne marzenia, a nawet jeśli to w sensie nie dosłownym. Mówiąc krótko, nie chciała kłaść się na torach w oczekiwaniu na orgazm pod stalowymi kołami rozpędzonego pociągu. Ale miała przecucie, że Delvaux wysłał w jej stronę jakiś trudny do rozszyfrowania sygnał, że pokazał jej drogę, w którą należało się udać.

\*\*\*

Stefan ubóstwiał literaturę kryminalną. Nie, nie musiały to być książki największych twórców tego gatunku. Kupował sobie każdą nowość z pistoletem, znakiem rozpoznawczym serii kryminalnej na okładce, nawet jeśli przeczuwał, że książka nie będzie arcydziełem. Najlepszym miejscem do kupowania nie były miejskie księgarnie, starające się handlować jedynie literaturą o wyższych aspiracjach artystycznych, albumami i podręcznikami, ale kiosk na dworcu kolejowym.

5

Tak wybór był naprawdę dobry. Kioskarz znał już dobrze Stefana i widząc go, wyciągał spod lady jakąś nowość. Stefan, w miarę możliwości rewanżował się biletem do teatru. Stefana w tych książkach nie interesowało zakończenie, czyli w gruncie rzeczy – sama intryga też nie. Był suflerem i pragnął podpowiadać bohaterom w najbardziej dramatycznych momentach. W myślach ratował ofiary, a także – i to o wiele chętniej – podpowiadał mordercom. Bo według Stefana zapominali swe role. Wyglądało to mniej więcej tak: podejź do niej, nie, nie cofaj się, zaciśnij dłoń na jej szyi, poczekaj, nie tak szybko, musisz dobrze się do tego przygotować, tak, kciuki wbij w jej kark... Albo: teraz wyciągnij nóż, ale ona nie może go zobaczyć, ukryj go w dłoni, wepchniesz go w jej ciało, gdy ona rzuci się na ciebie. Nie, nie, ona nie jest sama, mogą cię zobaczyć, wyjdź jak najszybciej z pokoju. To była męcząca praca, zawsze po jej zakończeniu Stefan był cały spocony i niezdolny do dalszej lektury. Lubił wtedy zaparzyć sobie ziół i leżąc na kanapie marzył o lepszym życiu. Czasami pragnął być bohaterem kryminału, któremu ktoś podpowiada co ma robić.

\*\*\*

Pewnego dnia Karol odważył się. Podeszedł do aktorki w teatralnym bufecie, gdy ta zajadała sałatkę jarzynową i powiedział: – Pani potrafi pięknie grać.

Aktorka otarła usta i bez specjalnego zdziwienia w głosie odparła – Dziękuję, a komuż to się tak podobam?

– Powiedziałem tylko, że potrafi pani pięknie grać – wyjąkał speszony Karol.

– To znaczy, że podoba się panu moja gra, a nie ja sama?

– Właściwie... – początkowo nie wiedział co odpowiedzieć, ale szybko odzyskał rezon. –

Mówiąc prawdę i jedno i drugie.

– Mam na imię Karina – podała mu rękę, dając wyniosłym uśmiechem do zrozumienia, że powinien był przedstawić się jako pierwszy.

– Aha... – odparł. Postanowił zagrać rolę cynika, który nie dba o formy i nie przedstawiać się,

choć zdawał sobie sprawę, że ta rola nie zaprowadzi go tam, gdzie chciałby się znaleźć. Ale właściwie gdzie to było? Czy stacją przeznaczenia miałyby być jej łóżko?

– Mam na imię Karina – powtórzyła i ostentacyjnie spojrzała w stronę sałatki.

– Czy smaczna?

– Jadałam lepsze, ale ta jest całkiem znośna. Ma tylko za dużo cebuli i mój partner na scenie będzie się znowu złościł, że całuję się z nim po cebuli. Bo wie pan, niby to wszystko na niby, ale jednak całujemy się tak, jak w życiu.

Wygrała tę rundę. Karol nie mógł powiedzieć, na przykład, że pieniądze teatru, które podlicza, są w gruncie rzeczy jego własnością, i jeśli ona się zgodzi, to teraz będzie się całowała z Karolem. Uznając się więc za pokonanego, wyciągnął rękę w jej stronę i oświadczył: – Jestem Karol.

A ona na to: – Wiem, bo kiedyś pański szef zawołał za panem: panie Karolu, dlaczego ma pan dzisiaj nie wypastowane buty?

A on: – Ja też wiem, że pani ma na imię Karina. Od dawna to wiem.

6

\*\*\*

W końcu los ich zetknął. W starej windzie kamienicy. Winda, wioząca Stefana i Karola na trzecie piętro, zaś Matyldę na czwarte, ni z tego ni z owego stanęła między piętrami. Uwięzieni pasażerowie próbowali wszelkich praktyk magicznych, takich jak walenie pięścią w przyciski i zaklęcia, by w końcu dać za wygraną. Zadzwonili do po dozorcę. Ten zjawił się po kilku minutach i obiecał natychmiast sprowadzić mechanika, który umie przywrócić do działania niemal stuletnią windę. Z początku rozmowa wyglądała mniej więcej następująco: – Pani z którego piętra? Z czwartego? Ja z trzeciego, aha, pan też z trzeciego? Tak, wydaje mi się, że już pana gdzieś widziałem. Być może, być może, mogliśmy się spotkać na klatce schodowej. Ja tu mieszkam od niedawna, zaledwie kilka dni. Pan też? O, i pani także? To zabawne, wszyscy sprowadziliśmy się tutaj tego w tym samym tygodniu, tylko w różnych dniach. No, to się zdarza, właściwie to nic nadzwyczajnego, ludzie muszą się kiedyś wprowadzać. I wyprowadzać, rzecz jasna. Mam na imię Stefan. A ja Karol. A ja Matylda.

Później umilają sobie czas pogawędką o swoim życiu zawodowym.

– Ja właściwie niczego nie robię. Byłam kiedyś konduktorką w ekspresie, zawsze pragnęłam móc prowadzić lokomotywę, ale panowie rozumiecie, mizoginizm, antyfeminizm. Teraz odpoczywam. Jak uznam, że nadszedł mój czas, pójdę do pracy.

– A ja jestem suflerem...

– Tak, a w jakim teatrze?

– W Miejskim.

– To znaczy u konkurencji! Ja pracuję jako księgowy w Popularnym, imienia Józefa Trappa.

– Aha, bardzo mi miło poznać kolegę po fachu. To znaczy do pewnego stopnia po fachu; wprawdzie pański zawód jest nie do końca związany z działalnością artystyczną, ale bez pana nie byłoby tej działalności.

– A czy sufler to zajęcie artystyczne?

– O, różnie o tym mówią. To jest taki artyzm bis, jeśli można to tak określić. Czy lubi pan swoją pracę?

– Pyta pan o księgowość, czy teatr? Bo jeśli chodzi o to drugie, to ja raczej nie jestem jakoś przywiązany do konkretnego miejsca. Równie dobrze mógłbym być księgowym, bo ja wiem, w banku czy w kancelarii prawniczej.

– A w domu pogrzebowym?

– Nigdy o tym nie myślałem, nie brałem takiej możliwości pod uwagę. Chociaż, jak to mówią, pieniądze nie śmierdzą.

– Proszę mi wierzyć, w zakładzie pogrzebowym też nic nie śmierdzi.

Po wyjściu z windy, Karola długo dręczyła myśl, że Stefan i Matylda tylko udawali nieznanomych. Wyglądali na ludzi, którzy gdzieś kiedyś się spotkali, być może spotkanie to zaowocowało czymś ważnym dla obojga, ale skrętnie skrywanym przed resztą świata.

– Bzdura – powiedział sam do siebie, gdy już wszedł do mieszkania – Gdyby się znali, nie przedstawiliby się sobie. Darowali by sobie taki cyrk.

7

\*\*\*

– Dali się nabrać, dali się nabrać – roześmiała się sama do siebie Matylda. – Z jednej strony wiedzą, że mam coś wspólnego z koleją, a z drugiej nawet im nie przyjdzie do głowy, o co tak naprawdę chodzi.

Potem podeszła do okna w oczekiwaniu na przejazd pociągu: za dziesięć minut będzie przejeżdżał towarowy. I Matylda nie pomyliła się – w wyznaczonym czasie pod jej oknem przedelfilował wspaniały skład, przewożący skroplony butan – razem dwadzieścia wagonów. Zatrzymał się pod semaforem: czekał na Intercity z X do Y, jeśli Intercity się spóźni, co wcale nie jest rzadkością, towarowy może postać nawet kilkanaście minut. Matylda powoli zrzuciła sukienkę, odpięła stanik i pozbyła się majtek. Na ścianie po przeciwnej do okna stronie wisiało olbrzymie lustro; widziała w nim nie tylko siebie, ale również torowisko, i wszystko co się na nim znajdowało. Tak, była kobietą Delvaux, w jej nagości był erotyzm, ale też uległość i pokora wobec siły, którą symbolizował pociąg. Ale gdyby lokomotywa miała duszę, serce i oczy, Matylda stałaby się jej obsesją, byłaby kimś o kim się marzy gdzieś na dalekiej trasie i zawsze wraca pod to samo okno.

Matylda prowadziła pamiętnik, w którym – gdy Intercity przerwał intymną chwilę – tego dnia zapisała: Jestem szczęśliwa, ale nie wiem, czego naprawdę pragnę. Pociąg wywołuje we mnie zauroczenie, ale jak doprowadzić do spełnienia tej namiętności? Czasem myślę, że to wszystko bzdura, że jestem wariatką, której nikt by nie zrozumiał. Kto wie, może i sam Delvaux uznałby mnie za szurniętą? Nie ma wątpliwości – jestem szurnięta, ale dobrze mi z tym, czuję, jak ta gra mnie wciąga i wiem, że jej koniec może być burzliwy. Ale przecież nie rzucę się pod pociąg. Zresztą kto to wie? Pode mną mieszka niejaki Karol. Chce od życia czegoś extra, ale nie wie czego. Rzuca hasłami – księgowość, finanse, banki, ale to robi wrażenie tylko na nim samym. Jeśli nie uda mu się zrealizować swoich marzeń, może stać się niebezpieczny. O drugim facecie, drogi pamiętniku, niczego nie napiszę. Sam wiesz dlaczego.

\*\*\*

Stefan golił się. Używał do tego brzytwy. Jego ojciec, fryzjer z małego miasteczka nie uznawał ani jednorazowych żyletek, ani elektrycznych maszynek, a jedynie brzytwę. Stefan chciał zostać kimś więcej niż małomiasteczkowym golibrodą, ze swoim ojcem zgadzał się jedynie w niewielu sprawach, ale golenie się brzytwą było rytuałem niemal atawistycznym. Brzytwa była w nim, była częścią jego tożsamości. Kochał jej długie ostrze i to, że była podobna do noża. Miał nawet brzytwę do krojenia chleba i wędlin, choć używał jej niezmiernie rzadko. Nie był psychopatą a jedynie tradycjonalistą.

Wkrótce miał iść na próbę do teatru by podpowiadać teksty, których nie lubił, których wręcz się brzydził. Brakowało w nich życia, nie wywoływały tego dreszczyku emocji, jakie odczuwał będąc suflerem bohaterów kryminałów. W teatrze szeptał do aktorki: ja też cię kocham najdroższy.

Jakby nie była w stanie zapamiętać tego idiotycznego zdania.

A do aktora: najdroższa, tyle lat czekałem na te słowa. Czy będziemy już zawsze razem?

I do niej: to zależy tylko od nas

I do niego: W życiu nie wszystko jest takie proste

I do niej: czyżbyś kogoś już miał?

8

I do siebie: A cóżeś, kurwo, myślała, że przez te wszystkie lata onanizowałem się?

\*\*\*

Wierni uczniowie Freuda nie uwierzą, że niezwykła namiętność Matyldy wzięła się z niczego. Nie można – powiedzą – pokochać pociągów, ot tak, bez żadnego powodu, nawet jeśli chodzi tu o pociągi artystyczne, wręcz metafizyczne. Trudno sobie wyobrazić, by wielbiciel malarstwa Leonarda da Vinci, a szczególnie jego „Ostatniej Wieczerzy” czuł wzmógłony głód na widok tego

działa, że największym walorem tego fresku będzie dla niego jedzenie samo w sobie. Tak samo z Matyldą i środkami transportu (bo malował też tramwaje) Delvaux. Być może nieco światła na tę płomienną skłonność rzuci fragment pamiątnika, jaki jeszcze rok temu prowadziła Matylda. Oto zapiski z 25 lipca 1995 roku.

„Nareszcie przyszedł od niego list. Píše, że wszystko idzie po jego myśli, a nawet znacznie lepiej, że Nowy Jork to miasto wielkich możliwości – tak zresztą jak się spodziewał – i z pewnością uda mu się tam osiągnąć sukces. Píše, że przesłuchiowano go (ale nie na policji, ha, ha!) w kilku klubach, i paru facetów powiedziało, że jest naprawdę dobry. Że gra prawie tak, jak Joshua Redman albo wręcz David Sanborn, i, kto wie, może wkrótce podąży ich śladem. A ci faceci, którzy go chwala to już niejednego słyszeli, kilku z nich ma nawet całkiem znane nazwiska – jakiś Miller czy Mailer, Rosenblath, Jackson czy Johnson... Tak czy inaczej Jacek jest pełen optymizmu, pisze, że Nowy Jork jest oszałamiający, wieżowce wyższe niż się spodziewał. 30 sierpnia 1995 roku.

„Dzwonił do mnie – przepraszał, że nie pisał, ale nie miał czasu. Miał jakiś dziwny głos – twierdzi, że to od dmuchania w saksofon, że tam się to robi o wiele intensywniej, niż u nas. Ale wszystko jest O.K. – gra w jazzowych klubach w East Village. Wczoraj miał koncert w Izzy Bar, jutro wystąpi w Nuyorican Cafe. Mówi, że w East Village – tam mieszka – jest sporo Polaków, Ukraińców i Irlandczyków, ale on woli Żydów. Żydzi rządzą show biznesem i on chciałby porobić sobie wśród nich znajomości. Ginsberg był Żydem a całe East Village, choć ten Ginsberg już nie żyje, cały czas go wspomina. Właściwie Ginsberg nie umarł, jest go wszędzie pełno, być może jutro wpadnie na koncert. Sprawdzić – kto to był Ginsberg. Czy Jacek nie zażywa narkotyków?”

Boże Narodzenie 1995 roku.

„Jacek nie pisał do mnie przez kilka miesięcy. W końcu zadzwonił. Mówi, że gdybym miała e-mail to byłoby mu łatwiej, bo to tylko się klika myszą i już mogę w swoim komputerze przeczytać list. A ja nie mam komputera. On pewnie też nie, tylko tak się chwali. Miał przysłać zdjęcia z koncertu, ale nie przysłał. Mówi, że nie miał kogo poprosić o zrobienie zdjęcia, A zresztą grał krótko, przed jakimś znanym murzyńskim raperem. W jego głosie wyczułam, że już nie ma tego entuzjazmu co na początku pobytu w Ameryce. Spytałam kiedy zamierza wrócić. Zdenerwował się – powiedział, że przyjechał po pieniądze i sławę. Życzył mi wszystkiego najlepszego”.

Kwiecień 1996 roku.

„Wiosna. Resztki śniegu spłynęły do rzeki i rzeką się stały. Dzwonił Jacek. Mówił, że w Ameryce można robić karierę w takiej dziedzinie, w jakiej się aktualnie chce. On wyjeżdża na Florydę. Być może będzie grał free jazz z muzykami kubańskimi. A być może zainteresuje się czymś innym, kto wie – może życiem duchowym? Czy on przypadkiem nie chce wstąpić do jakiejś sekty? Tak czy inaczej nie chce wracać. Kiedy go spytałam, czy nadal mnie kocha, i czy

rozumie, że dziewczyna w moim wieku potrzebuje kogoś przy boku (i nie tylko boku) odparł, że oczywiście, kocha mnie nadal, choć rozumie moje rozterki. Oj dziwnie to zabrzmiało, czekałam aż mi zaproponuje, abym sobie kogoś znalazła na czas jego nieobecności. Jesteśmy wszak ludźmi nowoczesnymi”.

Czerwiec 1996 roku.

„Boże, Boże, Boże. On UMARŁ!!! Utonął w tym pieprzonym oceanie. Napisał do mnie list jego przyjaciel Henry (Amerykanin polskiego pochodzenia) i wyjaśnił jak to się stało. Płynęli łodzią na Merliny, przyszła wichura, sztorm wywracał wszystko, co znalazło się na falach. Henry miał koło ratunkowe, Jacek nie miał... A ja głupia idiotka myślałam, że zostawił mnie dla jakiejś innej kobiety. Biedy Jacek, nie zrobił kariery saksofonisty. Zwłoki nie zostaną sprowadzone do kraju. Podobno na chwilę przed katastrofą powiedział, że jakby co, to pragnie, aby jego ciało spalono i rozrzucono nad oceanem”.

Listopad 1996 roku.

„On Żyje. Moja przyjaciółka widziała go w Nowym Jorku. Zadzwoniła do mnie z tą

wiadomością. Ma kogoś. Nigdy nie wróci. Tę swoją śmierć zmyślił, żeby się ode mnie uwolnić. Nie miał odwagi zadzwonić i powiedzieć mi prawdę. Poza tym chciał stworzyć sobie legendę, która będzie dla mnie religią”.

Po telefonie od przyjaciółki Matylda nie wiedziała co z sobą zrobić. Ani się nie cieszyła z powrotu „zmarłego” między żywych, ani nie rozpaczała z powodu jego zdrady. Przez wiele godzin wałęsała się po mieście. Nie wiedzieć czemu zaniósł ją na dworzec kolejowy. I wtedy zobaczyła jak na peron wtacza się majestatyczna lokomotywa. Wyobraziła sobie, że to z nią zdradził ją Jacek, że to jej gigantycznego, żelaznego cielska zapragnął, że to dla niej od dziś będzie grał na saksofonie. A ona – lokomotywa – nieczuła na jego zaloty i wdzięki zlekceważy tę miłość. I jego grę...

\*\*\*

Nad ranem Karol spostrzegł, że jego piękne zabytkowe lustro ma nową rysę pęknięcia. Rysa ta, przypominała drobny potok płynący ku wielkiej rzece, czyli istniejącej już rysie. Na ile poprzednim razem Karol poprzestał na konstatacji, że lustro pękło prawdopodobnie w nocy, na tyle teraz zaniepokoił się. Co się dzieje? – pomyślał – przecież takie solidne lustro nie ma prawa pękać samo z siebie.

Ale po chwili problem przestał istnieć; bądź co bądź Karol nie był szklarzem a ekonomistą (nawet choćby ekonomistą teatralnym) i nie znał się na obyczajach szkła. Wiedział, że drobnostkami nie należy się przejmować. Żał mu tylko było tego, że obiekt jego dumy – a lustro takim właśnie obiektem było – prezentuje się coraz gorzej. Pał jednak diabli lustro, jeśli za chwilę znowu będzie mógł zobaczyć kobietę swych westchnień – aktorkę Karinę. – A jeśli uda mi się ją ściągnąć do domu – rozmarzył się – i ona zapyta mnie, dlaczego mam pęknięte lustro, to odpowiem: „na twoim miejscu zapytałbym, co to za lustro, z jakich czasów pochodzi, czy przypadkiem nie wisiało w jakimś pałacu?”

A ona zapyta: „No, a co to za lustro?”

I odpowiem: „Biedermaier, wisiało w domu moich dziadków”.

W teatrze od razu natknął się na Karinę; biegła korytarzem i na widok swojego nowego znajomego machnęła ręką, tak, jakby nie wiedziała z kim się wita. Ale kilka godzin później, w 10

porze obiadowej, spotkali się w bufecie – była znacznie spokojniejsza niż rano, z wyraźną satysfakcją pochłaniała roastbeef z sałatką warzywną. Karol, przysiadłszy się do niej, jadł specjalność zakładu: flaki na gorąco.

– Nie przywitałaś się ze mną rano, nie odpowiedziałaś „cześć” – Karol nie mógł się zdecydować, czy ton jego głosu powinien być poważny, czy raczej żartobliwy. Tak na wszelki wypadek pomieszał oba tony, w jeden niewyraźny. Potraktowała go jak rozkapryszonego dzieciaka, któremu oczekuje na coś więcej, niż mu się należy.

– Daj spokój, przecież pomachałam ci ręką... – odparła.

– Ale tak, jakbyś machała do pasażerów przejeżdżającego pociągu. Małe dzieci na wsi uwielbiają wychodzić na nasyp kolejowy, żeby pozdrowić pociąg. A to przecież tak, jakby machały do lokomotywy. – Karol czuł, że mówi o wiele więcej niż potrzeba, ale nie mógł powstrzymać słowotoku. – Owszem, pomachałaś... Pewnie masz to we krwi: co wieczór machasz do ludzi, mam na myśli tych na widowni, których wcale nie znasz, którzy nic cię nie obchodzą, którzy dla ciebie nie istnieją. Tak – klaszczą, składają ci hołd, ale mają rację bytu jedynie jako producenci dźwięku; to nawet nie są poszczególne maski – bo pod maską może coś tam się kryje – ale ściana poklasku, taka zaprogramowana szafa grająca.

Karina popatrzyła na niego, jak na wariata, nawet odruchowo cofnęła się nieco do tyłu, wbijając się w oparcie krzesła. – Czy coś cię Karolku boli? Czy coś nie zgadza się w bilansie? Już miał na ustach odpowiedź: „Kłęska mojego bilansu jest twoją kłęską. Nie będzie wypłaty, nie będzie pięknych strojów, ekskluzywnych restauracji, drogich narkotyków”. Zdobył się jedynie na krótkie – żartowałem, przecież wiem, że mi pomachałaś.

Potem jedli w zgodzie wymieniając uśmiechy i mało ważne uwagi o pogodzie i kierownictwie teatru. Wreszcie zapytał ją: – Wydajesz się jakaś niespokojna, dlaczego?

– A to widać?

– No, pewnie, cała jesteś wypełniona jakąś złą energią. I wiem, że teraz nie grasz przede mną. Stało się coś?

Westchnęła: – i tak i nie. Dostałam nową rolę w bardzo dziwnej sztuce. Właściwie to jest adaptacja mało znanej powieści. Przeczytałam ją i nie jestem zachwycona, szczególnie moją rolą.

– Opowiesz mi, o co w niej chodzi?

– Jeśli masz chwilę czasu to posłuchaj. Rzecz toczy się pod koniec ubiegłego stulecia. To znaczy, tak mi się wydaje, bo czas akcji nie jest podany przez autora. Są karety, ale są też prace nad pierwszym silnikiem parowym. Mężczyźni chodzą w cylindrach, panie w obszernych sukniach do kostek, jedyną formą masowej rozrywki są koncerty w muszli koncertowej. Strauss, Rossini, Mahler... A mimo to cały czas ci się wydaje, że na niebie zaraz pojawi się samolot odrzutowy. Takie pomieszanie z poplątaniem jak w „Wyspie Pingwinów” Anatola Francea. Główną bohaterką tej powieści jest dziewczyna, którą porzucił narzeczony. Byli już po słowie, za kilka dni miały się odbyć zaręczyny, a dalej wszystko zgodnie z rytuałem: ślub, mnóstwo dzieci, wyszywanie makatek, herbatka z mężem i rodziną co niedzielę, msza co niedzielę, potem cicha śmierć w otoczeniu najbliższych. Ale narzeczony znika...

– I nie pojawia się więcej?

– Poczekaj, wszystko w swoim czasie. Znika; nieszczęsna narzeczona nie chce uwierzyć w to, że została po prostu porzucona, zdradzona. Wierzy, że został porwany, albo, że przytrafiło mu się najgorsze – że nie ma go wśród żywych. Mijają lata. Co pewien czas do dziewczyny, a właściwie już dojrzałej kobiety docierają wiadomości, że być może on jednak żyje: a to ktoś widział jego cień na murze domu, a to ktoś widział jego płaszcz w karczmie. Ale tak naprawdę nic o nim nie

11

wiadomo. Nasza bohaterka nie wychodzi za mąż, nie szuka żadnych miłosnych przygód. Jest mu dalej wierna. Być może, gdyby wiedziała z całą pewnością, że najzwyczajniej wzgardził jej miłością, dałaby się komuś uwieść. Ale takiej pewności nie ma. Jej życie to najbardziej surowa reguła zakonna – ubiera się wyłącznie w ciemne stroje, unika zabaw, rzadko się śmieje, niechętnie słucha dowcipów, czyta Pismo Święte. Przez pewien czas jej rodzice starają się ją przywrócić do normalnego życia; umierają nie osiągnąwszy tego celu. Kobieta zostaje na świecie niemal sama – czasem odwiedza ją dalsza rodzina, czasem przypomina sobie o niej jakaś dawna przyjaciółka. I wreszcie – po dwudziestu latach od czasu zniknięcia jedyne go mężczyzny w jej życiu, pojawia się oczekiwana wiadomość. Ale jest to zła wiadomość. Przynosi ją przyjaciółka z lat młodości, której nie widziała przez wiele lat. Owszem, spotkała go, powiedział jej prawdę: porzucił swą narzeczoną dla innej kobiety. Ale okazało się, że był tylko kaprysem dla nowej kochanki i wkrótce (oczywiście owo „wkrótce” oznaczało kilka lat) został bez niej. Nie miał już powrotu do dawnego życia, udał się więc gdzieś za morze, aby zacząć wszystko od początku.

– I udało mu się?

– Tego już przyjaciółka naszej bohaterki nie wiedziała; on wyjechał po ich spotkaniu.

– To musiał być straszny cios dla wiernej narzeczonej. Bądź co bądź zmarnowała dla niego tyle lat...

– Swoje najlepsze lata, a tym samym całe swoje życie. Postanowiła więc jego resztę poświęcić nienawiści. Nie, nie pragnęła zemsty; po prostu jej religią stała się nienawiść wobec dawnego kochanka. Zamiast modlitwy o jego szczęśliwy powrót, jaką zwała do tej pory każdego ranka i każdego wieczora, szeptała słowa nienawiści. A potem zrozumiała, że szept jej nie wystarczy, że musi tę namiętność wyrażać krzykiem. Wychodziła więc w pole, w pobliże torów kolejowych, aby tam dać upust nienawiści. Kiedy przejeżdżał pociąg krzyczała najgłośniejszym – i tak nikt jej nie słyszał. Wyobrażała sobie, że koła lokomotywy miażdżą zdrajcę.

– Myślisz, że rzeczywiście tego mu życzyła?

– Sądzę, że nie. Kobieta potrafi nienawidzić kochając, i kochać nienawidząc. Widok pociągu był po prostu lekarstwem dla jej duszy.

– Tak się kończy sztuka? Czy może ona sama rzuca się pod pociąg?

– To byłoby banalne. Rzecz kończy się inaczej. Pewnego razu, gdy pociąg zwalnia, udaje jej



się wskoczyć do jednego z wagonów i odjeżdża w siną dal. Pozostawiła za sobą dawne życie, razem z jego dorobkiem i bez grosza przy duszy, w swej czarnej sukience odzyskuje wolność.

– Tak się kończy? Przecież to dopiero początek!

– Owszem, dlatego powiedziałam, że sztuka jest dziwna. A moja rola nieco nijaka.

\*\*\*

– Czy był Pan kiedyś z prostytutką?

Karol z najwyższym zdumieniem spojrział na Stefana. Człowiek, którego prawie nie zna pyta go o takie rzeczy. Przyszedł przed chwilą, ledwie powiedział „dzień dobry”, spytał „czy mogę wejść” i już od razu chce rozmawiać o kontaktach z prostytutkami. A przecież on – Karol, prostytutki zna tylko z filmów.

– Nie bardzo wiem, o co panu chodzi...

– A co tu wiedzieć? – zdziwił się Stefan. – Pytałem, czy kochał się pan z kobietą za pieniądze.

– Nie... chyba nie – odpowiedział Karol, wstydząc się tego, iż nigdy nie zakosztował szczęścia, jakie dają płatne kochanki.

12

– Chyba, czy na pewno nie?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście – Stefan roześmiał się lubieżnie. – Nie można się z kimś „chyba kochać”. Albo pan zapłacił kurwie i skorzystał z jej wdzięków, albo tylko pan o tym marzył. Ale marzenie się nie liczy.

– Dlaczego uważa pan, że byłem z taką panią, albo o niej marzyłem? Nie bierze pan pod uwagę możliwości, że w ogóle to mnie nie interesuje? Być może kobieta, z którą jestem, czy byłem kiedyś...

– A ma Pan kobietę?

Karol czuł, jak jego twarz napływa krwią, a ściśnięte pięści aż drżą. Nie spodziewał się po swym sąsiedzie takich pytań, przynajmniej nie podczas pierwszej wizyty.

– Miło mi, że pan mnie odwiedził. Czy mogę w czymś pomóc? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Chyba nie można tego traktować w kategoriach pomocy. Po prostu przyszedłem się przedstawić. Wiem, wiem – poznaliśmy się już w windzie. Ale prawdopodobnie spędzimy w pobliżu siebie najbliższe lata, więc pomyślałem, że powinniśmy nawiązać bliższą znajomość. Mam wrażenie, że moje pytanie niezbyt panu się podobało, ale proszę mi wierzyć – dokładnie przemyślałem moją wizytę u pana. Pomyślałem sobie, że zacznę rozmowę od jakiegoś mocnego akcentu. Tak, jak w kinie, albo w teatrze, a przecież obaj jesteśmy ludźmi teatru. Niech pan sobie wyobrazi tak film: dwóch facetów, którzy nigdy się przedtem nie widzieli, siedzą obok siebie przy barze. Neonowe reklamy, świecące na fioletowo pod sufitem, gęsty papierosowy dym, gdzieś z grającej szafy dobiega muzyka Coltranea. Stołki uwierają ich dupy, piwo się kończy, wentylator smętnie tnie rozgrzane powietrze ponad ich głowami. Czyli, albo trzeba iść do domu, albo kogoś poznać. Jeden z nich odwraca się więc do drugiego i pyta...

– Czy był pan kiedyś z prostytutką? – domyślił się Karol.

– Świetnie – twarz Stefana rozpromieniła się – tak właśnie zapytał. Tym bardziej, że na scenie obok tańczyła piękna tancerka. Niby tancerka to nie prostytutka, ale jej taniec ma przecież wywołać pożądanie mężczyzn. I ten drugi coś tam opowiada, mam nadzieję, że inaczej niż pan, i nawiązuje się dialog.

– A pan, jako sufler podpowiada?

– Ach, w tym filmie nie jestem suflerem, ale aktorem. I nikt mi nie podpowiada; znam swoją rolę. Zagramy?

– Chciałbym wiedzieć, co to za film...

– Powiedzmy, że kryminał, ale wątek romansowy jest równie ważny.

– Dobrze – Karol uznał, że wypraszenie nieco natrętnego gościa nie ma już sensu, a rozmowa stała się zabawna – gramy. Teraz moja kwestia: – nie, nigdy nie byłem z kurwą. Boję się chorób zakaźnych.

– Myśli pan o chorobach zakaźnych, gdy w grę wchodzi szczęście?

– Pan tych parę ruchów spoconym tyłkiem uważa za szczęście? Szczęście jest gdzie indziej. Może w szumie traw, może w śpiewie małego ptaszka na łące, może w podmuchach morskiej bryzy...

– Pan... pieprzy. Pan albo się upił, albo nie może się upić i cierpi. Przecież widziałem, jak pan pożerał wzrokiem tę tancerkę – oddałby pan wszystko za dotyk jej ręki, Gdyby zgodziła się panu obciągnąć...

13

– Stop!!! Nie gramy w wulgarnym pornosie, tylko w dobrym filmie – oburzenie Karola było autentyczne. Ale Stefan zbył jej lekko drwiącym uśmiechem. – Zgadza się, gramy w dobrym filmie. Ona przecież panu nie obciągnie. Nikt panu nie obciągnie. Erotyzm w naszym filmie ograniczy się jedynie do tej smętnej rozmowy w barze. Niech pan więc nie wychodzi z roli i odpowiada jak bohater filmowy. Co to ja mówiłem?

– Mówił pan: gdyby zgodziła się panu obciągnąć...

– W porządku. Scena druga, ujęcie trzecie. Gdyby zgodziła się panu obciągnąć, umarłby pan ze szczęścia. Niespełnionego szczęścia – na tym polega pański dramat.

– Dziecko z pana. Mnie słowa nie ruszają. Nie jestem nawet pewny, czy ruszyłoby mnie, gdyby mi wzięła mojego... no, nie, nie mogę tego wymówić, ale niech panu będzie – mojego, hm, członka, do ust. Ja, proszę pana, wierzę tylko w męską przyjaźń!

– Pedał!

– Pan mnie źle zrozumiał! Wcale nie to miałem na myśli...

– Oj, sąsiedzie, chyba nie pójdziemy razem na dziewczynki.

– Panie Stefanie, przecież męska przyjaźń wcale nie musi oznaczać seksu między dwoma osobnikami tej samej płci. Ta przyjaźń to choćby braterstwo broni!

– Pedał i to na dodatek militarysta.

– Co!?

– Już dobrze, żartowałem. Kontynuujemy?

– Niech panu będzie, ale film zbliża się już do końca. Powiedziałem, że wierzę w miłość męską, a pan mnie nie obraża, nazywając pedałem.

– I odpowiadam panu: owszem, ja też wierzę w miłość męską. Ale to nie ma nic do rzeczy. Nigdy pan nie był z prostytutką, bo pan się boi syfa. I wiele pan traci. Bo kurwy są spragnione miłości, wielkiej, prawdziwej. Jeśli nie będzie ich pan tłukł po mordach i upokarzał jakąś haniebną formą seksu, na przykład biczowaniem, to one potrafią się odwzajemnić.

– Jasne, wielkim, niepohamowanym syfem! Syfem nieujarzmionym, syfem potężniejszym niż letnie gradobicie. Pan jest po prostu naiwny.

– A pan nie jest romantyczny. Ale to może i dobrze, ja też nie.

Karol poczuł, że robi mu się niedobrze od występów w tym dziwnym filmie. Postanowił go zakończyć, bo tancerka, która niby występowała na scenie baru przybrała niemal realną postać, Karol rozpoznał jej twarz – to była Karina. Ta sama Karina, która kilka godzin wcześniej opowiadała mu treść sztuki o dziewczynie, porzuconej przez kochanka. Teraz Karina tańczyła w obskurnej tancbudzie i tańcząc bezwstydnie pytała: obciągnąć ci? Nie, przecież ta tancerka nie miała nic wspólnego z obiektem jego westchnień. Obiekt był święty, nawet jeśli kiedyś tam nieco naruszony.

– A pan, panie Stefanie, był kiedyś z prostytutką?

– Tak, to znaczy – nie. Dziwi się pan, prawda? Zaraz to panu wytłumaczę. Poszedłem do łóżka z kobietą, która utrzymywała, że robi to za pieniądze, ale wkrótce okazało się, że jest socjologiem, robiącym badania na temat prostytutek, a właściwie ich klienteli.

– I co? No, wie pan, co mam na myśli? Doszło do czegoś poważniejszego?

– Nie, nie za pierwszym razem. Byłem jej pierwszym „klientem” i miała opory. Kilka miesięcy później wzięliśmy ślub.

– To znaczy, że ma pan żonę?

– Nie. Wkrótce miałem dość jej badań, które przeprowadzała gdzie tylko się dało i oczywiście

z kim tylko się dało. Rozumiemy się?

14

– Proszę mi wybaczyć szczerość, ale pan mi chyba jakieś bzdury opowiada.

– Zna pan ten cytat, że są na niebie i ziemi rzeczy, o których się nie śniło filozofom?

– Znam.

– Więc niech pan uwierzy, że to bardzo mądre słowa. Kiedy się znowu spotkamy – tym razem zapraszam do siebie – opowiem panu ciąg dalszy tej historii.

Za Stefanem zamknęły się drzwi.

\*\*\*

Matylda patrzyła na swój pamiętnik z niesmakiem – były w nim rzeczy, z którymi nigdy nie podzieliłaby się z nikim. Nie tylko się ich wstydziła, ale wręcz budziły jej zażenowanie. Była w nim jego zdrada, była jej naiwność, jej słabość. Była też lokomotywa... Lokomotywa nadziei, odwetu i, cóż tu kryć, szaleństwa. – Nie – pomyślała – nikt nie może się dowiedzieć o lokomotywie; kto normalny zrozumie, że jest dla mnie czymś znacznie więcej niż środkiem transportu? To jest moja tajemnica. Każdy ma coś tylko dla siebie – jakąś refleksję, jakąś żądzę, o których nawet wstydziłby się rozmawiać z innymi, choćby z przyjaciółmi.

Matylda już nie brzydziła się technologicznym nowinkom – miała komputer, miała kolorową drukarkę atramentową, miała skaner. Kiedy jej ukochany napisał jej, że gdyby ona miała e-mail, łatwiej byłoby im korespondować ze sobą, poczuła się jak człowiek z czasów kamienia łupanego; nie wyobrażała sobie, iż dwoje, kochających się ludzi może pisać do siebie listy w przestrzeni cybernetycznej. List to list – słowa, napisane atramentem, przekreślone zdania (już nieważne i nie wolno ich czytać), łzy, rozmywające słowa miłości, znaczek pocztowy, ślina, sklejjająca kopertę. A on proponuje coś, co jest jedynie lichym ersatzem listu: pocztę elektroniczną, e-mailowy adres, elektroniczne serce i cybernetyczne namiętności. To znaczy tak było kiedyś – dziś Matylda ma wszystko, łącznie z pocztą elektroniczną, dostęp do Internetu i wszelkie zabawki współczesności. Ma programy graficzne, Photo Shopa, a nawet jakieś wymyślne gry komputerowe, w których bez problemu można zabijać, rozlewać krew, wywoływać strach i łzy. Teraz Matylda miała inne podejście do życia – zapragnęła mieć wszystko, czego nie miała wtedy, gdy każdym skrawkiem swej duszy pragnęła JEGO.

Lubiła wieczorami siadać do komputera i skanować reprodukcje obrazów Delvaux – miała ich dziesiątki na twardym dysku komputera. A poza tym pisała, pisała, pisała...

\*\*\*

– Czego on chciał ode mnie? – myślał Karol po wyjściu Stefana. – Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie przychodzi do nieznanego – a ja dla niego byłem prawie zupełnie nieznanym – i nie pyta o stosunki z prostytutkami. Albo on jest niepoczytalnym zbrojnym, albo w jego pytaniu kryło się coś głębszego. Ale jakąż to głębia w pytaniu o prostytutki w moim życiu? Fakt, ale potem ten film – byle kto nie wpadłby na taki pomysł, żeby zaimprovizować filmową scenę, całkiem zresztą ciekawą. Tak, on chciał dać mi coś do zrozumienia, albo przygotować mnie do dalszej części rozmowy. On chce mi coś powiedzieć, tylko boi się, że jestem do tego nieprzygotowany – że wystraszę się, albo go wyśmieję. Tak czy inaczej chodzi tu o prostytutkę, może o tę jego żonę?

15

\*\*\*

Dwa dni później Stefan znowu zapukał do drzwi Karola. Zanim Karol zdążył cokolwiek powiedzieć, jego gość zapytał: – Pójdziemy do mnie, czy załatwimy sprawę u pana.

– Jaką sprawę? Będziemy grali w filmie, czy może, dla odmiany, staniemy się bohaterami literackimi? Pisz pan powieść?

Stefan popatrzył na Karola niczym na niesforne dziecko, lekko westchnął i ponowił pytanie. Zapadło milczenie; Karol nie wiedział co odpowiedzieć, tym bardziej, że odczuwał jakiś instynktowny lęk przed sąsiadem.

– Sprawa nie zajmie więcej niż pięć minut – powiedział spokojnym głosem Stefan, widząc lęk w oczach Karola. – To nie będzie kontynuacja naszego poprzedniego spotkania, a jedynie mała

propozycja.

– Jeśli tak, to proszę wejść. – Karol, skinieniem dłoni, zaprosił Stefana do środka. – Jakaż to może być propozycja? Moralna czy niemoralna?

– Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie w windzie? Rozmawialiśmy o pana pracy. Pan wtedy powiedział, że teatr im. Trappa nie jest, a przynajmniej nie musi być, ostateczną przystanią w pana zawodowej podróży.

– Owszem, tak powiedziałem, ale prawdę mówiąc...

– No, co prawdę mówiąc? Dobrze się pan czuje między rekwizytornią a działem finansowym? Między czymś, co nawiedzeni nazywają sztuką, a ludzie praktyczni uważają za wygłupy starzejących się dzieci, a światem, do którego pana naprawdę ciągnie? Dobrze pan zarabia w teatrze, kocha pan teatr, a może wszystko to razem i dzięki temu czuje się pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu? Pana ambicje śpiewają zgodnym chórem Alleluja? Nie, ambicje Karola bynajmniej nie śpiewały Alleluja, ani jakiegokolwiek utworu triumfalnego. Gdy myślał o swych perspektywach w teatrze, o drwiących uśmiechach pracowników rekwizytorni w brudnych kombinezonach, gdy przechodził koło nich w świeżo wyprasowanym garniturze, w wykrochmalonej koszuli, roztaczając wokół zapach przyjemnych (choć nie najdroższych) perfum, w jego duszy rozbrzmiewały smętne nokturny. Albo wręcz dźwięki muzyki awangardowej – rąbania fortepianu tępym toporem czy szarpania strun zębami. Ale dlaczego Stefan pytał go o pracę? Czyżby miał dla niego jakąś dobrą propozycję? Może potrzebują księgowego w teatrze Miejskim, ale tam pewnie taka sama bryndza, zarobki niewiele wyższe jeśli w ogóle. Ostatnio nie mieli niczego nadzwyczajnego w repertuarze, więc na przedstawieniach nie pojawiały się tłumy.

– Nie, nie czuję się do końca usatysfakcjonowany moimi warunkami pracy – Karol odparł zgodnie z prawdą (subiektywną) – ale chyba jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu...

– To znaczy – przerwał mu Stefan – jest pan właściwym człowiekiem, tylko miejsce nie takie znowu właściwe. Czy może to chciał pan powiedzieć?

– Ale o co chodzi?

Stefan zmierzył Karola niepokojąco badawczym wzrokiem, po czym powiedział: – Mam krewnego, dalekiego krewnego. On ma firmę, szybko rozwijającą się firmę – sam już nie jest w stanie kontrolować tych wszystkich przychodów, rozchodów i odchodów. Pan rozumie? Potrzeba mu kogoś, jakby to powiedzieć, właściwego, na właściwe miejsce.

– A co to za firma? – w głosie Karola zabrzmiała nuta lekkiego podniecenia. Ryba powoli chwyciła haczyk, choć nie zamierzała połknąć przynęty w jednej chwili.

16

– Firma zajmuje się, jakby to powiedzieć, eksportem.

Tego Karolowi trzeba było! Eksport, kontakty ze światem, spotkania z ludźmi, którzy tak samo jak on uwielbiają dobre garnitury i białe koszule. Krawaty, spinki, whisky z lodem, najlepsze francuskie i kalifornijskie wina, kubańskie cygara, amerykański slang i wytworna francuszczyzna, długie limuzyny, jeszcze dłuższe samoloty. A potem hotele, oczywiście klasy Ritza czy Hyatta, biznesowe kolacje, być może piękne, niezbyt uciążliwe w użyciu kobiety, bielutka pościel i... koniec filmu. Dalej wyobraźnia Karola nie sięgała. Ale jeśli powyższe atrybuty handlu zagranicznego miałyby się spełnić, to on, oczywiście, pragnął dostać pracę w tym sektorze.

– Widzę, że zainteresował się tą propozycją. – Głos Stefana wyrwał go z rozmarzenia. Karol oblał się rumieńcem: – A... to widać?

– Widać, widać. Proszę, oto adres. Mój krewny oczekuje pana jutro po południu.

\*\*\*

Zobaczył ich kiedyś w bramie kamienicy. Stali naprzeciw siebie, nie mówiąc nic, nie czyniąc żadnych gestów. Jak zamurowani. Karol chciał podejść do nich, przywitać się, zapytać o prognozę pogody (bo może któreś słuchało radia?), ale powstrzymał się od tego. Patrzył zdumiony na Stefana i Matyldę i pomyślał, że rozmawiają ze sobą nie mówiąc nic, zupełnie,

jakby ich mózgi łączyły się ze sobą w jakiś niewytłumaczalny sposób i nie potrzebowały ani ust, ani strun głosowych. – Bzdura – powiedział cichutko sam do siebie. – Przecież oni właściwie się nie znają. Może to mi się wydaje, może to dla mnie stanął czas? Cholera, trzeba pójść do lekarza. Na pewno powiedzieli sobie „dzień dobry” i poszli dalej, podczas gdy mój umysł cały czas ich rejestruje. A jeśli z moim umysłem jest wszystko w porządku? Może niosą szybę? Wiem! On ją spytał: „czy dobrze mi w tym krawacie” – i zamarł w oczekiwaniu na odpowiedź. A ona na to: „muszę się przyjrzeć” – i zamarła, oceniając urodę krawata.

Jakby na potwierdzenie tej hipotezy, chwile potem film znowu ruszył – Stefan i Matylda rozeszli się w dwie strony.

\*\*\*

Karina zaprosiła Karola na próbę sztuki o kobiecie, którą pogardził niewierny narzeczony. Jej autorem okazała się jakaś debiutantka, która sztukę przesłała na adres teatru i z kierownikiem literackim porozumiewała się wyłącznie drogą telefoniczną i pocztową, w tym również pocztą elektroniczną. Sztuka była zatytułowana „Pogarda”. Karol z radością skorzystał z zaproszenia Kariny, umówionego dnia stawił się w sali prób i zajął miejsce. Na scenę wyszła jego luba i patrząc na niego (a może tylko mu się tak zdawało?) wyrecytowała z pamięci.

BEATA (tak nazywa się bohaterka sztuki): – Już mija rok, a on... Może też przeminął? Nie, człowiek żyje, tylko nie każdy go dostrzega. Albo jest gdzieś daleko, albo chce, by myślano o nim, że jest daleko. Ukrywa się? Być może. Pytanie, czy ukrywa się sam, czy też ma jakąś towarzyszkę wspólnego ukrywania się? Nie, to niemożliwe – przecież obiecał mi ślub, i to nie z łaski, nie przez litość, ale z prawdziwej miłości. Tak mi się przynajmniej wydawało. Widziałam miłość w jego oczach, nie mogło mi się przecież zdawać, takie uczucia nie da się zagrać. Może

17

jakiś wielki aktor zagrałby, ale Jacek nie był wielkim aktorem. A właściwie kim on był? Co skrywało ciało, którego przecież nawet nie poznałam.

Na scenie pojawił się reżyser i powiedział: – Pani Karino. Pani mówi zbyt poważnie. Przecież ta sztuka to w pewnym sensie pastisz literatury wczesnego romantyzmu. Pani musi swą rolę, jakby to powiedzieć – przerysować, widz musi wiedzieć, że nie traktuje pani Beaty serio. Inaczej ta sztuka nie ma sensu. Dobrze, dajmy spokój tej kwestii, przejdźmy do sceny, gdy Beata dowiaduje się o zdradzie Jacka.

Reżyser zniknął za kulisami.

BEATA: Boże, to nieprawda. Ty wszystko zmyśliłaś. Żeby mnie uspokoić. Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, jak strasznie mnie to rani? On nie mógł mnie porzucić dla innej – przecież obiecał mi ślub, ja też mu obiecałam. Wyrzuciłam z siebie tę część duszy, która kieruje naszym pożądaniami, która popycha nas ku innym mężczyznom. Dla mnie nie ma innych mężczyzn – to są po prostu gorsze kobiety, mniej przydatne, bo nie można ich uważać za przyjaciółki.

Właściwie nie istnieją. No, więc ja poświęciłam całe swoje życie Jackowi, od czasu gdy zniknął nie było chwili, w której nie myślałabym o nim, nie modliła się za jego szczęśliwy powrót. A ty mi mówisz, że on, po prostu, znalazł sobie inną kobietę? Jeśli nie ma dla mnie innych mężczyzn, to przecież – i jest to logiczne – dla niego nie ma innych kobiet. O ja nieszczęśliwa, o ja nieszczęśliwa.

– Pani Karino – krzyknął reżyser – niech pani nie tworzy, tylko odtwarza. To ostatnie zdanie wymyśliła pani sama, udowadniając brak dobrego smaku. Poza tym brak znajomości kobiecej duszy. Kobieta, która jęczy „o, ja nieszczęśliwa” nie zamknie się w sobie i nie poświęci reszty swego życia pogardzie. Te, co lamentują potrafią się szybko wypłakać, wycierają dłonią łzy i wracają do zajęć domowych. Ale generalnie było nieźle. Teraz proszę o scenę na torach.

BEATA: Jedzie pociąg. To dobrze, niech wszystko raz na zawsze skończy się pod jego kołami. Nie, kochani widzowie, to, o czym myślicie byłoby zbyt proste, a poza tym wcale nie mam na to ochoty. Nie skoczę na tory – skoczy tam tylko moja miłość. A jeśli nie będzie chciała udać się tam dobrowolnie, wypchnę ją. Bo chyba cały czas go jeszcze kocham, nawet jeśli jest to miłość poprzez nienawiść. Przede mną wielka próba – czy dam radę położyć uczucie na torach i patrzeć jak koła wagonów roznoszą je na strzępy? Spróbujmy... (BEATA wykonała gest, jakby

wyszarpowała coś spod bluzki)

Reżyser: – Przesadny naturalizm. Nie musi pani niczego pokazywać, bo to pachnie groteską. Po słowie „spróbujmy” proszę spojrzeć przed siebie i do wygaszenia świateł stać nieruchomo. Widz sam musi się domyśleć, że nie traktujemy naszej bohaterki śmiertelnie poważnie. Po wygaszeniu świateł rozległy się brawa – była je jedna osoba, ale naprawdę płomiennie.

\*\*\*

– Naprawdę podobało ci się?

– Owszem, bardzo.

18

Karina spojrzała uważnie na Karola, myśląc, że ma przed sobą klasycznego adoratora, a nie konesera teatru. Nie spodziewała się innej odpowiedzi niż ta, którą usłyszała. Ponowiła więc pytanie: – Podobało ci się, absolutnie szczerze?

Karol spłonął rumieńcem – miał usta pełne sałatki i takiej sytuacji cokolwiek powiedziałby wypadło głupio. Począł więc, aż pokarm znajdzie się w żołądku i zapytał: – Nie wierzysz mi? Myślisz, że tak naprawdę nudziłem się przez całą sztukę. Zapewniam cię, że nie. A w ogóle rozróżnijmy – czy chodzi ci o samą sztukę czy twoją grę? Bo jeśli o to drugie, to jestem zachwycony. Natomiast jeśli mówimy o sztuce, to... trudno powiedzieć. Nie widziałem całości, jedynie kilka scen, zresztą we fragmentach. Myślę, że odbiór dzieła literackiego jest czymś bardzo osobistym – jednemu się spodoba, innemu wręcz przeciwnie. Wiesz, czytałem niedawno jakiś artykuł, w którym autor dowodził, że „Zbrodnia i kara” to rzecz bez wartości, nudna, jej akcję dałoby się opowiedzieć na kilkunastu stronach krótkiej noweli. Nie ma zdania w tej kwestii, prawdę mówiąc „Zbrodnię i Karę” czytałem dawno i właściwie też tylko we fragmentach. Natomiast widziałem film, podobał mi się. Może nawet dwa filmy, jeden lepszy od drugiego...

– O czym ty mówisz? – przerwała mu nieco zirytowana Karina – Sztuka w której gram nie ma nic wspólnego ze „Zbrodnią i karą”. Z „Hamletem” też zresztą nie. To zwykły chłam, dziełko jakiejś debutantki, które zdaniem naszego kierownika literackiego nadaje się do wystawienia. Ha, ha! Według mnie to zwykła strata czasu – zejdzie z afisza po paru tygodniach i przyniesie teatrowi duże straty.

– Jesteś dziwnie zdenerwowana – Teraz Karol przerwał Karinie – Mówisz, że nie podoba ci się ta sztuka, ale jednocześnie żyjesz swoim występem. Ma dla ciebie wielkie znaczenie, może nawet większe niż ci się zdaje. Czy ty przypadkiem nie utożsamiasz się z tą kobietą.

– Z jaką kobietą?

– Dobrze wiesz o kim mówię, z bohaterką tej sztuki. A propos, jaki tytuł nosi ta sztuka?

– Nie wiesz? „Pogarda” – był już taki film, oczywiście o zupełnie innej treści niż ta sztuka.

Dobrze, może masz trochę racji – rzeczywiście ta sztuka ma na mnie jakiś dziwny wpływ, nie umiem sobie nawet tego wytłumaczyć. Zasypiam o wiele trudniej niż kiedyś, przez cały dzień myślę tylko o tej kobiecie i jej złamanym życiu. Z drugiej strony wiem, że cała fabuła jest naiwna, że to idiotyzm przejmować się „Pogardą”, podczas gdy na świecie jest tak wiele wspaniałych, przejmujących dzieł. A ja gryzę się, bo jakaś wariatka chodzi oglądać pociągi i marzy, aby jej były kochanek, tak przez przypadek, znalazł się na torach. A może zresztą nie marzy – nie wiem, trudno zrozumieć jej stan psychiczny. Przecież „Pogarda” jest napisana zupełnie bez znajomości ludzkiej, a już szczególnie kobiecej duszy.

– A gdyby ciebie porzucił ukochany? Czy nie postępowałabyś podobnie?

– Dlaczego cię to obchodzi? Mogę nie odpowiadać na to pytanie.

Karol roześmiał się, choć był to śmiech sztuczny, co Karina natychmiast wyczuła.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Nie wiem, może dlatego, że zupełnie mi nie do śmiechu. Tak, możesz mi nie odpowiadać, ale przecież nie pytałem cię o twoją przeszłość, tylko o możliwą reakcję. Wiem, nie mam prawa zadawać ci tak osobistych pytań...

Teraz roześmiała się Karina: – Nie przejmuj się. Każdy, oczywiście po osiągnięciu pewnego wieku, ma rozmaite damsko-męskie przygody. Ja, powiedzmy, też. I może coś wiem o swoich reakcjach, gdy zostawia mnie facet. Ale – na miłość boską – to nie jest temat do rozmowy przy

sałatce w bufecie. Do tego potrzebny jest wieczór, najlepiej późny wieczór, przyciemnione światło, butelka dobrego wina, kryształowe szkło, jakaś nastrojowa muzyka i, nie obraź się, 19

odpowiedni facet. Nie mówię, że nie mógłbyś zagrać roli takiego faceta, ale na razie nie wyobrażam sobie tego.

Karol nic nie odpowiedział, ale w duchu pomyślał: – rzucił cię, zarozumiała dziwko, jakiś silny facet, za którym szalałaś, bez którego nie potrafiłaś przeżyć choćby jednego dnia. Rzucił, poszedł za ładniejszą, a może tylko mniej nawiedzoną, po prostu normalniejszą – ja bym poszedł – i nie odezwał się więcej. Ja też bym się nie odezwał.

Pożegnali się chłodnym uściskiem dłoni.

\*\*\*

Matylda leżała na łóżku i przeglądała nowo zakupiony album ze sztuką współczesną gdy zadzwonił telefon.

– Ach, to ty – Matylda, choć czekała na ten telefon od kilku dni, starała się wyrzucić na swym rozmówcy wrażenie, że takich telefonów odbiera dziennie dziesiątki, ma ich dosyć, nudzą ją. – Miło, że dzwonicz, myślałam nawet o tobie. Nie, nie dzisiaj, jakoś tak ostatnio, może w ubiegłym tygodniu. Przypomniało mi się, że masz sprawę do mnie. Aha, to kwestia interpretacji – ty mówisz, że to ja mam do ciebie sprawę, ja odwrotnie: że ty czegoś ode mnie oczekujesz. Ha, ha... Czekaj, nie obrażaj się, zachowujesz się jak nastolatek, któremu panienka odmówiła.... Czego odmówiła? No na przykład tego, że pójdzie z nim na szkolny bal. Ale taki był namolny, a przy tym pryszczaty, że... No dobrze, nie obrażaj się. Powiedzmy, że to ja mam do ciebie sprawę, i co z tego? Czy czujesz się lepiej, wydaje ci się, że jesteś kimś lepszy, jakimś chrzanionym aniołem, który nosi pod pachą łaski boskie? Mów, co udało ci się załatwić. Starasz się? To znaczy, że jeszcze nie rozmawiałeś o tym z szefem? Czekasz na odpowiedni moment? Rozumiem, jesteś pewien, że wszystko wypali, tylko muszę uzbroić się w cierpliwość. W porządku, po raz kolejny uzbroję się w tę cholerną cierpliwość – w końcu wyrosnie mi na grzbiecie zbroja cierpliwości. Pamiętaj, musisz opublikować ten swój artykuł do końca miesiąca, czyli masz jeszcze dwa tygodnie. Pracujesz w gazecie codziennej, a nie w kwartalniku, więc nie powinieneś mieć problemów. Owszem, zależy mi na tym, aby tekst był długi, z jakimś ładnym tytułem, ozdobiony albo grafiką albo moim zdjęciem. I na jakiejś prestiżowej stronie – nie życzę sobie, aby pisał o mnie na kolumnie nekrologów. Dobrze? Och, Marku, tylko błagam, nie pytaj mnie, jakie mam prawo wymagać tego od ciebie. Jesteśmy przyjaciółmi, czy to nie wystarczy? Rzeczywiście, nasza przyjaźń nigdy nie została skonsumowana i, zapewniam cię, nigdy nie dojdzie do tego. Przyjaźń to coś więcej niż łóżko i chcę, aby tak zostało. Nie gadaj bzdur – przyjaźń jest wartością o wiele większą. Cóż to takiego łóżko? Jakiś orgazm w lichym stylu – tylko nie mów mi, że orgazm orgazmowi nierówny i my dwoje moglibyśmy wprawić w kompleksy tych, co zażywają rozkoszy w raj. No więc łóżko to lichy orgazm, ciężki sen, po którym budzisz się z nieświeżym oddechem i poczuciem winy, poranna sprzeczka, kto pierwszy pobiegnie do ubikacji wylać z siebie wczorajsze wino i ból głowy. A jeśli los będzie szczególnie złośliwy – zarazi nas oboje szczególnie uciążliwą grypą. Więc nie licz na to, że mnie przelecisz, a jednak... pomóż mi.

\*\*\*

Ten dzień stanowił dla Karol jakąś magiczną datę – wierzył, że od jutra zacznie nowe życie, nawet jeśli nie zmieni pracy tak z dnia na dzień. Ale przecież usłyszy od szefa poważnej firmy, działającej na wielu światowych firmach: Tak, panie Karolu, przyda się pan nam. Od dawna 20

szukaliśmy młodego człowieka z dobrą prezencją, który zna obce języki, wie, co to problematyka finansowa, mówiąc krótko – będzie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Polubi pan tę pracę – hotele (nawiasem mówiąc dobre hotele mają baseny i gabinety odnowy biologicznej), spotkania z ciekawymi, naturalnie – eleganckimi ludźmi. Opowiedzą panu o wielkich korporacjach Dalekiego Wschodu, o Hongkongu i Kualalumpur, poczuje pan wiatr z Tokio... Wiele się pan od nich nauczy. Kiedy znajdzie się pan w Nowym Jorku i pojedzie na sam dół Manhattanu, tam gdzie znajduje się Wall Street i potężne instytucje finansowe, będzie pan miał

wrażenie, że jest pan w domu.

Karol do rozmowy z ewentualnym pracodawcą przygotowywał się bardzo skrupulatnie – wyprasował najlepszą białą koszulę (w delikatne granatowe prążki), kupił sobie granatowy krawat typu „neat”, wypastował skórzane (no, prawie skórzane) buty, najnowszy krzyk mody, a nawet myślał o chusteczce w butonierce. Długo zastanawiał się nad tym, jaka wodą toaletową powinien skropić swą twarz. Miał dwie – jedną tańszą (prawdę mówiąc bardzo tanią) i drugą, nieco droższą, tyle, że kupioną w promocji, więc też dość tanią. Ale pachniała ładnie – drzewem sandałowym z domieszką paczuli i wanilii. Albo czymś takim. Oczywiście użył tej drugiej. I udał się pod wskazany przez Stefana adres.

Pod kamienicą, gdzie miało znajdować się biuro, uwagę Karola zwróciła czarna furgonetka, z przyciemnionymi szybami, przez które widać jednak było rozwinięte kielichy białych lilii. – Czyżby chodziło o eksport kwiatów? – pomyślał.

Nacisnął klamkę i ciężkie drzwi otworzyły przed nim drogę do jakichś mrocznych pomieszczeń. W przedpokoju wisiał szyld z ledwie widocznym napisem. Karol z trudem odczytał napis: „Eternus, zakład pogrzebowy”.

Wzdrygnął się niesmakiem. – To chyba jakieś żarty, albo biuro eksportowe mieści się z innej strony. Już chciał wyjść z budynku, by poszukać innego wejścia, gdy nagle z jednego z pokoi wyszedł drobny mężczyzna z wątym wąsem ubrany w czarny garnitur i krawat, też w tym kolorze.

– Pan Karol, nieprawdaż?

Karol niepewnie skinął głową; jego złudzenia właśnie przysły – biurem, do którego rekomendował go Stefan był zakład pogrzebowy. Mężczyzna popatrzył na niego uważnie, jakby brał rozmiar na trumnę, po czym zaprosił go do swojego gabinetu. Ku przerażeniu Karola pod ścianą stało opartych kilka starych luster, identycznych z tym, jakie wisiało u niego. Również lustra w zakładzie pogrzebowym były lekko pęknięte, wszystkie identycznie.

– To dziwne – wyszeptał Karol – ja też mam takie lustro, tak samo pęknięte.

– Lustra mają tę właściwość, że pękają. – odparł chłodno mężczyzna – Ale czy to znaczy, że przestają być lustrami?

Karol nic nie odpowiedział, czują jednak, że kryje się tu jakaś tajemnica. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Postanowił więcej nie pytać o lustra.

– To pan jest tym sąsiadem Stefana? – spytał szef zakładu pogrzebowego.

Karol skinął głową.

– Dziwny człowiek z tego Stefana – kontynuował mężczyzna. – Jest w nim jakiś niepokój, skrywany pod maską cynizmu i niczym niezmaconej pewności siebie. Prawda jest taka, że biedak nie może dojść do siebie po rozstaniu z kobietą. Oczywiście wspominał panu o tym? Musiał wspominać, bo przecież jesteście przyjaciółmi, a przyjaciele opowiadają sobie o wszystkim. Przyznam się jednak, że nie chciałbym być jego spowiednikiem: niby to on jest pokrzywdzony,

21  
ale tak naprawdę wielki z niego grzesznik... Myślę, że jego dusza wypełniona jest mrokiem, choć on sam krzyczy: „to przecież tylko białe noce”.

Szef zakładu przerwał na chwilę, by poprawić szarfę na leżącym obok wieńcu.

„Biuro eksportowe – pomyślał z ironią Karol – rzeczywiście, eksportują zwłoki ze szpitala na cmentarz. Stefan ma niezłe poczucie humoru. Chyba, że faktycznie jego dusza jest wypełniona mrokiem”.

– Dlaczego nie satysfakcjonuje pana praca w teatrze? – spytał szef.

– Bo, wie pan... – Karol czuł, że w tym miejscu nie będzie w stanie udzielić prawidłowej odpowiedzi, zgodnej z podręcznikami dla osób starających się o pracę. Jednak spróbował: – teatr nie pozwala mi na rozwój mojej osobowości, nie daje mi satysfakcji zawodowej, owszem, lubię te dekoracje, wśród których przebywam, ludzi, żyjących na poły w tym, a na poły w nieistniejącym świecie, ale to nie jest mój świat. Pragnę rozwijać się w kierunku zarządzania finansami firmy, wie pan...

– Tak, wydaje mi się, że wiem. I mam dla pana dobrą wiadomość – tutaj też są dekoracje,



które pan lubi, ale, jeśli można tak powiedzieć, charakter pracy, jej temat, zupełnie inne. Wprawdzie tu też mamy do czynienia z innymi światami, ale taki, które czekają każdego z nas, więc nie są czymś wydumanym, czyś z pogranicza artystycznej fikcji. A jednak moja firma to też teatr, z aktorami głównymi, statystami, misternie wykonanymi dekoracjami – proszę mi wierzyć, że zrobienie pięknej trumny czy imponującego wieńca (a musi być imponujący, bo to ostatni wieniec w życiu człowieka) jest robotą dla najlepszego teatralnego dekoratora. Śpiewy, patetyczne przemówienia, lamenty nad grobem – my za każdym razem gramy Hamleta, zawsze piszemy go od nowa, co nieco dodając, co nieco ujmując. Teatr, proszę pana, teatr i to jaki wstrząsający. Przyznam się panu, że przez dwadzieścia lat pracy w branży nie stałem się rutyniarzem, każdy pogrzeb jest dla mnie czymś indywidualnym, zawsze mnie bierze. I to często do łez. A pan, czy pan potrafi płakać?

Karol skinął głową, choć nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał. Chyba to było wtedy, kiedy odstał od ojca lanie za to, że... No, właśnie, nawet nie pamiętał za co i wcale nie był pewien, że płakał. Jednak przytaknął.

– To pięknie młody człowieku. Nawet ten, dla którego liczy się wyłącznie świat pieniądza i wartości materialnych, a pan – zdaje się – do takich należy, powinien umieć płakać. Czasem szczerze, czasem nie, ale płacz jest istocie ludzkiej tak potrzebny jak deszcz. No, może trochę rzadziej.

– Skoro pan zauważył, że dla mnie nie bez znaczenia jest świat wartości materialnych – zaczął nieśmiało Karol – to może porozmawialibyśmy o tym świecie. To znaczy o moich zarobkach, gdybym zdecydował się na pracę w pana firmie.

– Jeszcze nie teraz. Najpierw proszę zastanowić się nad swoją rolą w tym zakładzie. Owszem, mam dla pana konkretne propozycje i to związane z księgowością, ale może pan sam chciałby mi zasugerować jakieś swoje zadania. Jestem człowiekiem otwartym i przyznam, że brakuje mi ludzi.

– Czy to znaczy, że...

– Tak, dokładnie tak. Potrzebuje księgowego, który, jeśli znajdzie taka potrzeba, będzie potrafił wyszinkować naszego klienta, podciągnąć mu skarpetki, poprawić chustkę w butonierce a także zamknąć drzwi jego domu, czyli, jak to niektórzy określają, zatrzasnąć wieko. Z odpowiedzią proszę się nie spieszyć, mam czas. Szanuje ludzi, którzy swoje decyzje wspierają dogłębną analizą. I wtedy przyjdzie czas na rozmowę o pieniądzach.

22

\*\*\*

– I co, miał coś ciekawego dla pana?

Karol nie wiedział, czy powinien roześmiać się, udać obrażonego, czy może podziękować. Wygrała jednak uprzejmość – bądź co bądź nie obiecywał, że firma jego krewnego to centrala handlu zagranicznego. Być może nawet nie wiedział, czym tak naprawdę zajmuje się krewny. Znał go jako człowieka zamożnego, ubierającego się w awangardowe czarne garnitury, jeżdżącego dobrą czarną furgonetką, zawsze wypełniona białymi liliami...

– Właściwie trudno powiedzieć... Dał mi czas do namysłu, a jest o czym myśleć. Jego firma ma dość nietypowy, a może jednak typowy, bardzo typowy, tyle, że szokujący, charakter. Nie spodziewałem się, że pana krewny pracuje w takiej branży. Ale nie mówię „nie”. Jest wiele „za” i wiele „przeciw”.

– Jak to w życiu – wtrącił Stefan

– No właśnie, jak to w życiu, a nawet w śmierci. Pomyślę, mam się nie spieszyć, i dam mu odpowiedź. Nie mówiliśmy jeszcze o warunkach finansowych.

– Wydaje mi się, że te sprawy są najmniej istotne. Najważniejsze, aby pan robił to, co lubi, rozwijał się i parł do przodu. Pieniądze przyjdą same – zdziwi się pan, ile ich jest. Zakocha się pan w swoim koncie.

Karol wyczuł, że Stefan w ogóle nie ma pojęcia czym zajmuje się jego krewny. Postanowił zmienić temat, tym bardziej, że czuł się nieco upokorzony, przynajmniej wobec samego siebie. Zapytał: – czy pamięta pan nasza rozmowę na planie filmowym?

- Pamiętam.
- Obiecał mi pan opowiedzieć dalszy ciąg historii o panu i pana żonie.
- Obiecałem, ale to nie może być zwykła opowieść. To musi być filmowa scena, tak jak poprzednio. Jeśli pan przyjmuje ten warunek – zapraszam do siebie.
- Przyjmuję, z przyjemnością.
- A zatem jutro wieczorem. Może być?
- Naturalnie, z przyjemnością.
- To się jeszcze okaże.

\*\*\*

Matylda z lubością wpatrywała się w obraz. Przedstawiał peron stacji kolejowej, i choć nie była to reprodukcja dzieła Paula Delvaux, bardzo przypominał obrazy belgijskiego artysty. W tle obrazu, gdzieś na samym końcu peronu majaczyła sylwetka nagiej, zasnutej cieniem kobiety. Matylda wiedziała, że to ona jest ową kobietą, jednak nikt inny by jej tam nie rozpoznał. – To dobrze – pomyślała – oto dzieło prawdziwie intymne: Delvaux, ale mój własny, jakiego nie ma w żadnym muzeum, w żadnej galerii. Nie da się go kupić, ani ukraść. No, może ukraść... Ale kto włamywałby się do mojego mieszkania, żeby kraść dzieło, o którym świat nigdy nie słyszał? Nie przedstawia przecież żadnej wartości finansowej.

Matylda pogłaskała obraz, jakby pieściła puszystego kotka, po czym wymierzyła mu delikatnego klapsa. – Co ja przez ciebie mam... – szepnęła – Gdyby ktoś to zobaczył, uznałby mnie za idiotkę. A ja nie chcę być idiotką, ani być uważana za idiotkę. Mój czas właśnie nadszedł. Zobaczmy, kto się będzie śmiał ostatni. Niewykluczone, że nikt nie będzie się śmiał.

23

Tak, tak, nadchodzi czas poważnych rozstrzygnięć. W głównej roli wystąpi Matylda, a towarzyszyć mu będzie jej wierny przyjaciel Paul Delvaux, czy raczej – mutant Paula Delvaux. W roli drugoplanowej, po raz pierwszy na ekranie, zobaczymy resztę świata. Co tam świata – wszechświata.

Włączyła komputer i podniosła klapę skanera.

\*\*\*

Karol popatrzył na swe zabytkowe lustro. Tak, nie patrzył na siebie, ale zmatowiałą tafłę, pokrytą już nie kilkoma, ale siecią kilkunastu pęknięć. – Wadliwe – szepnął do siebie, mając jednak świadomość, że z jego lustrem dzieją się jakieś niezwykle rzeczy. Odbicie w lustrze też budziło niepokój Karola: widział w nim już nie rupieciarnię zniszczonych antyków, ale wręcz śmietnik. Skład złomu, makulatury, poszarpaną odzież, połamane ramy. Karolowi wydawało się nawet, że w głębi tego widoku, na ścianie wiszą jakieś medale, ordery, poruszane przez wiatr. Wiatr?

– Może to nie lustro, może to obraz... – wzruszył ramionami – Kiedyś robili takie rzeczy, o jakich dzisiaj nawet się nam nie śni. Na przykład trupy iluzjonistów, dających pokazy pod podwórkowymi trzepakami: była kobieta–guma, chłopiec–pantera, starzec, co rozrywał łańcuchy niczym papier.

I znów postanowił nie martwić się z powodu drobnych zjawisk, być może do pewnego stopnia nadprzyrodzonych (a może całkiem naturalnych, któż to wie?) i zaczął przygotowywać się do wyjścia do pracy. Z lubością pogładził kołnierzyk swej nowej błękitnej koszuli w kremowe prążki, wybrał z szafy zielony krawat w trupie czaszki (a jak, bądź co bądź pracuje się instytucji artystycznej) i przetaił ściereczką jasnobrażowe buty. Szybko wypił kawę z mlekiem, przekąsił słodkim rogalikiem i na koniec śniadania zjadł łyżeczkę miodu.

Wychodząc z domu już nie pamiętał o niespodziance, jaką uraczyło go lustro.

Teatr podobał mu się coraz mniej. Już od pewnego czasu miał wrażenie, że nie jest to jego miejsce na ziemi, a po rozmowie z krewnym Stefana ściany świątyni sztuki wydały mu się szare i nieefektywne. – Bo ja wiem, może jednak lepszy dom pogrzebowy. A w zasadzie firma usług pogrzebowych. Czy może raczej agencja spraw społecznych? – rozmyślał idąc korytarzem – Na pewno lepiej się tam płaci. I więcej się dzieje. Nie tak, jak w teatrze, gdzie nad przygotowaniem jednej sztuki – na którą nawiasem mówiąc mało kto przyjdzie – dziesiątki osób pracują przez

kilka miesięcy. Tam rzeczy wygląda następująco: jeden klient jednego dnia (może dwa dni). Po nim przywożą następnego, a nim jeszcze następnego. Tak czy inaczej w ciągu tygodnia co najmniej siedmiu klientów, a pewnie bywa, że i więcej. A jeśli to duża firma, zatrudniająca wiele osób, to te osoby mogą łączyć się w oddzielne, powiedzmy, departamenty, dzięki czemu jednego dnia można załatwić więcej niż jednego klienta – tylu klientów, ile departamentów. Zaś za każdego klienta – duża forsa. Za pięciu: pięć razy większa. Wiadomo, że jak bogata firma, to może sobie pozwalać na upusty; a upusty, czyli generalnie niższe ceny przyciągają coraz to nowych klientów. I interes się kręci, Boże, jak szybko się kręci. Tak, dzisiaj to tylko silni się liczą. Słabych nie stać na dawanie upustów, a tym samym na rozwój firmy.

Namiętny monolog wewnętrzny tak go pochłoniął, że nawet nie zauważył, gdy wpadł na kogoś, ten ktoś odbił się od niego jak piłka i upadł na wznak. Łoskot przywrócił Karola do rzeczywistości. – Bardzo przepraszam, nie chciałem, zamyśliłem się...

24

– O czym tak myślałeś, że mnie nie zauważyłeś? A może to taka mała demonstracja niechęci? Ślicznie, bardzo finezyjna demonstracja, powinieneś mnie jeszcze kopnąć, gdy już leżałam na ziemi.

Przez plecy, niżej zresztą też, Karola przebiegł dreszcz. To był głos Kariny. Nie miał na kogo już wpaść, tylko na nią.

– Jeszcze raz przepraszam, głupio wyszło. Właściwie bardzo ciemno w tym korytarzu. Ale to mnie nie usprawiedliwia...

– Przez chwilę pomyślałam, że znenawidziłeś mnie po naszej ostatniej rozmowie i postanowiłeś dać mi nauczkę.

– Ja, po rozmowie? Nigdy w życiu, przecież ja nawet nie pamiętam o czym rozmawialiśmy.

– O tym, że nie jesteś facetem, którego chciałabym oglądać przez kryształ kielicha, napełnionego winem. I ty o tym pamiętasz.

– Właściwie mogłabyś mi powiedzieć, dlaczegoż to nie jestem owym kryształowym gościem.

– Dlatego, że najpierw bijesz kobietę w ciemnym korytarzu...

– Wypraszam sobie!

– Wypraszaj, wypraszaj. No więc, bijesz kobietę, a potem nawet nie pomożesz jej wstać, tylko patrząc z góry pytasz: dlaczegoż to nie jestem owym kryształowym gościem?

Twarz Karola spłonęła rumieńcem; faktycznie, po zderzeniu zupełnie zgłupiał – najpierw ta złość, że jeszcze musi przychodzić do teatru, nagle coś go wyrывa ze świata marzeń, okazuje się, że to ukochana kobieta, a potem ona robi z niego kretyna. – A niby jak się powinienem zachować – głupkowaty uśmiech na twarzy ekonomisty miał świadczyć, że stara się on całe zajście obrócić w żart.

– Normalnie – odparła, wstając i otrzepując się – Każdy normalny facet pomógłby mi wstać, oczywiście od razu przepraszając, a nie przepraszając, patrząc z góry. Potem objąłby mnie i spytał: czy mógłbym panią zaprosić na szklaneczkę burgunda?

– Ale gdzie miałbym cię zapraszać? Do bufetu z sałatkami i bigosem? Zresztą otwierają go dopiero za dwie godziny.

– Boże, co za cymbał. Skończmy tę rozmowę. Gdyby to była scena w sztuce, zostałyby skrócona o połowę: widz i tak wiedziałby z jakim bohaterem, a właściwie antybohaterem ma do czynienia. Do zobaczenia.

Gdy odeszła, niemal płynąc po wykładzinie korytarza, Karol nie miał wątpliwości: – muszę stąd odejść, to nie mój świat, to nie są ludzie, z którymi znajdę porozumienie. Tu są same, same...

– poszukał w pamięci jakiegoś przykładu – o! same Ofelie i inne nawiedzone Izoldy. Lepsze ode mnie, lepsze – dziwki.

– I pewnie nazwałś mnie w myślach dziwką! – dobiegł go jeszcze głos Kariny.

Postanowił wieczorem przyjrzeć się z bliska pracy firmy krewnego Stefana. Nie, nie wejdzie do środka – ukryje się gdzieś za rogiem i będzie patrzył. Policzy klientów, może uda mu się zorientować, jak wielu zatrudnia pracowników, co oferuje, jakim dysponuje sprzętem.

Furgonetkę już widział. Może jest ich więcej? Może są samochody ciężarowe, może eleganckie

limuzyny i szklarnie z kwiatami?

\*\*\*

– Ach to pan, nie spodziewałem się...

– Jak to, przecież mieliśmy dokończyć nasz film?

25

– Racja, tylko, że sądziłem...

– ...Że nie podałem mi się film? Fakt, jestem amatorem zupełnie innego kina. A tak naprawdę nie jestem kinomanem – rzadko chodzę do kina, rzadko oglądam telewizję. Nie mam zdania; może pański film, szczególnie jeśli opowiada prawdziwą historię, jest dobry.

– Pan lubi prawdziwe historie? Dobrze, niech pan wejdzie. Dziś zagramy na całość.

Karol wszedł do mieszkania Stefana, rozglądając się bacznie na boki, starając się jednocześnie, aby jego ciekawość nie została zauważona. Jednak niczego nadzwyczajnego nie zobaczył, z wyjątkiem kilku błyszczących w świetle lampy brzytw, leżących na podłodze.

– Napije się pan czegoś? – zapytał gospodarz.

– Może herbaty... – odparł nieśmiało Karol.

– W męskim kinie nie ma herbaty, jest burbon. Mam burbona, niestety ciepłego. Nie ma też lodu. Ale to chyba nam nie przeszkadza. Myślę, że Hemingway pił w Hiszpanii wyłącznie ciepłego burbona.

– Zakładając, że w ogóle pił whisky. Mógł pić sherry brandy.

– Ma pan rację. Mógł pić sherry. – Stefan uśmiechnął się pod nosem i powoli rozlał Jacka Danielsa do sporych szklanek.

– Pijmy. Po kilku szklankach rozpoczniemy projekcję filmu. Na razie... przygotujmy się do gry. Włóżmy stroje z epoki, poprawmy makijaż, sprawdźmy, czy w naszych koltach jest komplet nabo.

Karol poczuł się nieswojo – gdyby to był film, to po kilku minutach po podłodze leżałoby kilka trupów. Wprawdzie Stefan nie wyglądał na psychopatycznego mordercę, ale leżące obok brzytwy nie nastrajały optymistycznie. Postanowił jednak nie pytać o nie, aby nie wywoływać wilka z lasu. Przez pół godziny sączyli burbona patrząc się sobie w oczy. Po kilku szklankach Karol poczuł się znacznie pewniej.

– Więc kim była pańska żona?

Stefan odstawił szklankę z burbonem i zaczesał włosy do tyłu. Przez chwilę nie odzywał się po czym powiedział: – A może to wcale nie była żona? Zna pan taki termin kochanka?

– Znam też termin kurwa.

– Kurwa? Gdzieś słyszałem takie słowo, ale chyba nie wiem co tak naprawdę znaczy.

Szczególnie, jeśli używa go taki chłopiec jak ty.

– Chłopiec chce grać w filmie.

– O kurwach?

– O życiu.

– No to słuchaj. Widzisz bar...

– Ten sam co wtedy? Neonowe reklamy, świecące na fioletowo pod sufitem, gęsty papierosowy dym, gdzieś z grającej szafy dobiega muzyka Coltranea. No i tych dwóch facetów, których stołki uwierają w dupę?

– Nie żartuj. Jeśli już przyszedłeś, to zamień się w widza. Dzisiaj nie zagrasz – to będzie moja reżyseria i moja rola. Patrz, ale, kurwa, nie na mnie, tylko na ekran!

– Nie widzę ekranu.

– Jeśli nie widzisz ekranu, to zostaw mnie w spokoju. Jeśli chcesz zobaczyć najbardziej wstrząsający film tego pieprzonego świata, popatrz na ekran. Na mój ekran. Gdybym był patetyczny, powiedziałbym, że tym ekranem jest moje sumienie. Ale nie powiem – ekran jest ekran, nic więcej. No, więc patrz – ten sam bar, oświetlony neonowymi reklamami. Od baru wstaje mężczyzna, może być podobny do mnie i rusza w stronę drzwi. Wstał, potyka się o

26

krzesło, kopie je, popycha stoliki, spadają z nich butelki piwa, wywracają się popielniczki. Ale

nikt nie protestuje – bar jest niemal zupełnie pusty. Nie ma nawet barmana, który pewnie polewa w toalecie włosy zimną wodą. Jest kobieta – ani piękna, ani brzydka, ani dobra, ani zła. Kobieta. Ona też zrywa się od baru, staje i krzyczy do odchodzącego mężczyzny: – Mimo wszystko będę cię kochała.

A mężczyzna nawet się nie odwraca, dochodzi do drzwi zatrzymuje się.

– Jan! – krzyczy ona.

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? – mruczy on, niby do niej, ale zbyt cicho by go usłyszała.

– Jan, przecież nie możesz tak odejść, zbyt wiele nas łączyło.

– Niby co? Tych parę pocałunków, uścisków, westchnień?

– To też się liczy, a poza tym było coś znacznie więcej.

– Ale nie umiesz tego czegoś określić, nazwać? Myślisz, że byliśmy razem, ale w gruncie rzeczy jak zdefiniować bycie razem? To, że często się spotykamy, częściej niż z innymi? Z każdym możesz często się spotkać – nawet z jakimś interesującym, choć obcym ci facetem. Przegadacie całą noc, może nawet popadniecie we wzajemną fascynację, co wcale nie oznacza, że będziecie razem. No, może ten jeden raz, przy świetle księżyca.

– O czym ty mówisz? Recytujesz, jak z jakiejś durnej książki.

– Właśnie czytasz tę książkę, i mam wrażenie, że cię wciąga.

– Głupie książki nie robią na mnie wrażenie, tym bardziej mnie nie wciągają. Przestań błaznować, powiedz dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać poważnie, dlaczego udajesz patetycznego głupca? Nie zasłużyłam na to. Być może nie byłam idealną dziewczyną, ale nie byłam też taka zła.

– Dobrze, że uczyłaś się w szkole o czasie przeszłym i właściwie go używasz.

– To jest także czas przyszły!

– Nie ma już dla nas czasu przyszłego. Dla ciebie – tak, dla mnie – owszem, ale razem stanowimy przeszłość. I to taką, o której trzeba jak najszybciej zapomnieć.

– Czyś ty zwariował? Jedziesz do Nowego Jorku, co mi, faktycznie, niezbyt się podoba, ale przecież kiedyś wrócisz. Miałam nadzieję, że jeszcze w tym roku się pobierzemy, że tu, na miejscu będziemy budować naszą przyszłość.

– I nazwałaś mnie palantem.

– No i co z tego? Zresztą ty naprawdę jesteś palantem, jeśli za takie niewinne słówko obrazasz się, i zrywasz ze mną. Przecież to nie ma sensu.

– Nie ma, rzeczywiście, nie ma. – Mężczyzna, nie odwracając się do kobiety, popycha drzwi baru i wychodzi. W chłodną, deszczową, listopadową noc. Ale gdy tak powoli kroczy ulicą, do jego uszu docierają strzępy jej rozpaczliwych zawołań:

– Bo prawda jest taka, że kogoś masz. Ja też mogę mieć. Ale na razie nie chcę. To znaczy jest mi wszystko jedno. A nawet jeszcze mniej. Urodziłeś się głupi i głupi umrzesz. Myślisz, że twardo stąpasz po ziemi, bo cieszy cię, gdy krzywdzisz innych. Ale to jest gówno, a nie twarda ziemia. Grzęzniesz w gównie. Co tam – gówno: twoja twarda ziemia to mąka. A ktoś, kto idzie po mące, musi kiedyś się w niej utopić. Udusisz się, nikt cię nie usłyszy, nikt ci nie pomoże. Jezu najśłodszy, co ja bredzę?

Mężczyzna skręca w jakąś wąską uliczkę, już nie słyszy swej byłej ukochanej, niknie w mroku.

Stefan zamilkł. Wychylił do końca szklanekę i popatrzył gdzieś w dal; obecność Karola zdała mu się tylko iluzją. Karol natomiast miał wrażenie, że gdzieś już widział ten film. A przynajmniej

27  
bardzo podobny i być może to była teatralna sztuka. Tak, przecież w „Pogardzie”, której próbę widział kilka dni temu występuje kobieta porzucona tuż przed ślubem przez ukochanego. Bo jego ciągnęło gdzieś w świat i do innych kobiet.

– Ja już, Stefan, widziałem ten film. – Karol miał nadzieję, że zaskoczy swego sąsiada tym odkryciem..

– Być może, wielu z nas w nim grało. Ten film miał milion wersji i wciąż kręcą nowe.

\*\*\*

– Błazen. Błazen, albo wręcz przeciwnie: ktoś, kto wiele przeżył, chce się tym z innymi podzielić, ale nie umie; wymyśla jakieś niestworzone, na pozór, sytuacje, w których umieszcza siebie, a właściwie kogoś na swoje podobieństwo. Kobieta, którą pragnie opisać, wymyka się literackim możliwościom – raz opowiada o dziwce, drugim razem zaś o kobiecie skrzywdzonej. Ale zawsze dochodzi do rozstania, niby z jej powodu, ale tak naprawdę to on odchodzi. Tak czy inaczej jego opowieści są nieco komiczne, tak, jakby wychodziły z ust... błazna. Takiego błazna naszych czasów. – Karol nie mógł przestać myśleć o wizycie Stefana u poprzedniego wieczora. Z jednej strony bardzo chciał poznać przeszłość swojego sąsiada, tym bardziej, że jego ostatnia historia przypominała mu sztukę, w której grała Karina. Z drugiej zaś sądził, że Stefan niczego mu więcej o swej byłej ukochanej nie powie.

Karol szedł w kierunku zakładu pogrzebowego – zbliżał się wieczór, ale firma krewnego Stefana pracowała do późnej nocy, właściwie 24 godziny na dobę.

– Przyjrzę się zakładowi z oddala, stanę za rogiem, może gdzieś w pobliżu znajdę ukrytą w drzewach ławeczkę. Tak, trzeba prowadzić wywiad gospodarczy, choćby we własnym zakresie i na własny użytek, szczególnie jeśli chodzi o przyszłe miejsce pracy. Ale to na pewno dobry zakład. Szef nie prosił mnie o natychmiastową decyzję – wręcz przeciwnie, prosił o głęboki namysł. Sam też musi się zastanowić, czy mu odpowiadam, przeanalizować wszelkie za i przeciw. Z pewnością myśli, że mam wysokie oczekiwania finansowe – niech tak myśli, dobrze rokujących pracowników trzeba dobrze opłacać. A ja rokuję.

Karol doszedł do ulicy, na której znajdował się zakład. Poszukał odpowiedniego punktu obserwacyjnego – znalazł go w końcu w bramie jednej ze starych kamienic. Przyłgnął twarzą do brudnej szybki drzwi i wbił wzrok w szyld „Eternus”. Kilka minut później przed zakładem zatrzymała się znajoma czarna furgonetka. Z zakładu wyszedł szef, jak poprzednio ubrany w czarny garnitur. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, równie eleganckich – elegancją zakładów ostatniej przysługi – prawdopodobnie pracowników firmy. Kierowca furgonetki otworzył tylnie drzwi pojazdu i wszedł do jego środka. Po chwili wysunął w kierunku pozostałej trójki jakiś pakunek, przypominający stos sklejek. Ale kiedy Karol bardziej wyteżył wzrok, okazało się, że były to lustra. Zresztą szef zdjął jedno lustro, oparł o ścianę i gładził ręką jego tafłę.

– Boże, przecież to lustro jest pęknięte, zupełnie jak moje – szepnął zdumiony Karol.

Zdziwienie jego wzrosło, gdy zobaczył, że szef „Eternusa” zbliża się w kierunku bramy, w której się ukrył.

– Dzień dobry, panie Karolu – rzucił szef w stronę drzwi, ukrywających Karola.

– Dzień dobry – wyjąkał zdumiony księgowy, nie wychodząc zza drzwi – skąd pan wie, że tu jestem.

– Mam dwie wersje odpowiedzi. I chyba skorzystam z obu. A więc spodziewałem się pana – jest pan człowiekiem ambitnym, nowoczesnym; chciał pan złożyć mi taką, powiedzmy, wizytę

28  
nieformalną, na podstawie której zorientowałby się pan, jak pracuje nasza firma. Pan nie gra w ciemno, pan poważnie podchodzi do spraw zatrudnienia. Świetnie, podoba mi się to.

– A druga wersja?

– Zobaczyłem pana odbicie w lustrze. To znaczy tylko oczy, ale pana ma takie charakterystyczne oczy, łatwo je zapamiętać.

– Naprawdę?

– Oczywiście – jest w nich młodzieńczy blask. Widzi pan, moi ludzie nie mają takiego blasku w oczach.

– Dlaczego wozi pan lustra furgonetką...

– Która służy do przewozu nieboszczyków, o to chciał pan zapytać?

– Prawdę mówiąc – tak.

– To proste – zakładam sobie nowe lustra w zakładzie. Skoro mam własny transport, nie będę płacił taksówkom bagażowym.

– Oczywiście, ale przecież to są pęknięte lustra.

– Mogły pęknąć podczas transportu. Ale to nieprawda. One już były pęknięte. I również

nieprawdą jest to, że założę. Jeśli jednak powiem panu, że zamierzam je pochować, tak, tak, nawet z pewnym ceremoniałem, uzna mnie pan za szaleńca i nigdy nie będzie pan u mnie pracował. A pan podoba mi się.

Karol, który cały czas pozostawał w swoim ukryciu, spytał, zupełnie zdezorientowany: – Jak to, pochowa je pan. I to z całym ceremoniałem?

– Najnormalniej w świecie – z ceremoniałem, który przystoi umarłym lustrum. Bo, widzi pan, lustro, niczym ludzie, rodzą się i umierają. Nie zawsze pokazują tak pięknie i ostro, jak na początku swojego życia. Tak, życia – cokolwiek pan pomyśli. Ba, odbicie starych i zmęczonych luster nijak się ma do rzeczywistości. Powinny, na przykład, pokazywać pięknie urządzone pokój, a tymczasem widzimy liche speluny, śmietniki, błotniste drogi polne. Kiedy lustro pęka po raz pierwszy, jest to znak, że jego śmierć jest kwestią niedługiego czasu. Potem pojawia się sieć pęknięć – obraz w lustrze staje się coraz bardziej ponury, zgorzkniały, powiedziałbym – zrezygnowany.

Karolem wstrząsnął dreszcz: przecież jego lustro od pewnego czasu systematycznie pęka, a odbicie też pozostawia wiele do życzenia.

– Jeszcze kilka tygodni temu uznałbym pana za osobę, proszę mi wybaczyć, szaloną, ale fakty, jakie miały miejsce w moim domu skłaniają mnie do tego, by panu uwierzyć. – wyznał.

– Rozumiem, pan jest świadkiem śmierci lustra. – ciągnął szef. – To, o czym panu powiedziałem jest dla pana wstrząsem. Niestety, moje słowa to prawda – nikt tak się nie zna na śmierci, jak ja. Nawet sama śmierć wie o sobie mniej. Poza tym – tu ściszył głos – muszę coś panu wyznać. Śmierć nie istnieje.

– Jak to, nie istnieje?

– Najzwyczajniej. Umarła, rozplynęła się w czasie i przestrzeni. A my umieramy z przyzwyczajenia, trochę dla zadośćuczynienia tradycji i przyzwoitości. Gdybyśmy tak umieli zlekceważyć tę tradycję... Niestety, to sztuka, której człowiek nigdy nie opanuje. Dlatego umieramy – ale sami, na własną rękę, bez pomocy śmierci.

Karol, czując że powoli pogrąża się w świecie absurdu, nie będąc pewnym, czy przypadkiem szef nie robi sobie z niego żartów, spytał, nadając swemu głosowi jak najbardziej rzeczowy ton: – czy przemyślał pan moją kandydaturę?

– Przemyślałem – odparł mężczyzna w czarnym garniturze.

29

– No i co?

– A co ja mogę myśleć o kandydacie do pracy, który rozmawia ze mną przez brudną szybę. Czy pan myśli, że nasza rozmowa ma przez to bardziej metafizyczny charakter? Zakład pogrzebowy to nie metafizyka. To ubieranie zwłok, grzebanie ich w ziemi, albo palenie w piecu. Proszę przyjść, jak będzie pan gotowy.

Szef odwrócił się do Karola plecami i odszedł w stronę luster.

\*\*\*

Stefan golił się jedną ze swych brzytw. – Jeśli kiedykolwiek chciałbym popełnić samobójstwo, powinienem podciąć sobie żyły właśnie brzytwą. Gdybym był bohaterem ponurego filmu, a przynajmniej takiego, w którym ktoś odbiera sobie życie – faktycznie, przecież to mogłaby być komedia – byłbym skazany na ostrze brzytwy – powiedział do swego odbicia w lustrze. I ciągnął dalej: – dlaczego ona nie odebrała sobie życia? Co ją powstrzymało, czy urok życia jest tak wielki, że pozwala zapominać o najgorszej przeszłości? Może na tym polega nadzieja; nawet jeśli nie zdajemy sobie sprawy z jej obecności, ona tkwi głęboko w nas i kieruje naszymi czynami: powstrzymuje rękę, która sięga po nóż czy brzytwę lub zaplata na sznurze węzeł.

Ale... nadzieja też czasami przegrywa.

\*\*\*

Łomotanie do drzwi wyrwało Karola ze świata pięknych marzeń. Wyobrażał sobie właśnie, że jest człowiekiem bogatym, szanowanym, rozdającym karty we wszelkich grach i przy wszelkich stołach. Udało mu się – już nie jest księgowym w teatrze, ale prezesem zarządu potężnej firmy

„Eternus”, zajmującej się obsługą pogrzebów na skalę międzynarodową. Jest też właścicielem banku, który prowadzi operacje tego przedsiębiorstwa, a także rachunki osób fizycznych. Jak do tego doszło? Po kilku miesiącach pracy w „Eternusie” udało mu się przekonać szefa do zmian w sposobie zarządzania zakładem (cokolwiek to znaczy) i od razu osiągnęli sukces. Karol został członkiem zarządu, zyskał status partnera, a niedługo przejął firmę. Dotychczasowy pryncypał – i tu pojawiły się dwie wersje marzenia – odszedł na emeryturę, albo zniknął w niewyjaśnionych, dla policji, okolicznościach.

– Proszę otworzyć, policja. – Karol zerwał się z łóżka i podbiegł do drzwi. Na progu stało dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn – jeden z nich pokazał Karolowi legitymację służbową, drugi jedynie wbił w niego zimny wzrok.

– Pan jest sąsiadem Matyldy W.?

– Tak, raczej tak, to znaczy, chyba... Myślę, że ona jest Matylda, jeśli chodzi o tę panią, o której myślę. – Nie wiedząc o co chodzi, Karol nie chciał sprawiać wrażenia, że jest osobą bliską Matyldzie. Zresztą zgodnie z prawdą.

– A której pan myśli? – spytał policjant o zimnym wzroku.

– No, o tej Matyldzie.

– Czyli zna ją pan?

– Wiem tylko, że Matylda. Zresztą niejednemu psu na imię Burek...

– W tym domu tylko jednemu. Oprócz niej nie mieszka tu żadna Matylda. Sprawdziliśmy.

30

– Stało się coś? – Wyobraźnia na razie nie podpowiadała Karolowi żadnych możliwości. By zyskać na czasie zaprosił funkcjonariuszy do środka.

– Tego do końca nie wiemy. Znikła – na razie tylko to jest pewne. Jej rodzina twierdzi, że jest osobą, hmm, dość nietuzinkową – nawiasem mówiąc są na to odpowiedniejsze słowa – i różne rzeczy mogły jej strzelić do głowy. W każdym razie nie kontaktowała się z nimi od tygodnia, nie zostawiła też żadnej wiadomości, gdzie zamierza się udać. Dziś rano, wspólnie z rodziną i dozorcą, otworzyliśmy mieszkanie. Nic nie wskazuje na to, by w miały tam miejsce akty przemocy, żadnej krwi, żadnych pocisków, i tak dalej. – poinformował pierwszy policjant.

– I tak dalej? – zainteresował się Karol.

– Nie ważne. Tak czy inaczej nic szczególnego w mieszkaniu się nie działo, jeśli chodzi o, jeśli tak można powiedzieć, sferę jak najbardziej przyziemną. Morderstwa, gwałty, kradzieże to, niestety, codzienność.

– Powiedział pan „w sferze jak najbardziej przyziemnej”. Czy to znaczy, że w grę wchodzi metafizyka? – Karol uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Pan używa wyrazów, pan chce zyskać nad nami przewagę – zmitygował go ten z zimnym wzrokiem – ale myśmy tu nie przyszli w celach sportowych. Mamy nadzieję, że pan nam pomoże coś wyjaśnić. Proszę na to popatrzeć.

Podał Karolowi niewielki obrazek, przedstawiający archaiczny peron kolejowy: w tle widać było parowóz, zaś na pierwszym planie: – Ależ ta naga kobieta to Matylda! – wykrzyknął Karol.

– Tak, wiemy o tym. Niech pan teraz przeczyta podpis pod tym rysunkiem.

– Paul Delvaux i ja – Karol z trudem odczytał ręczne pismo Matyldy. – Kto to taki ten Delvaux?

– I myśmy się nad tym głowili, tym bardziej, że jej rodzice nigdy o kimś takim nie słyszeli.

Przyjęliśmy wersję, że to jakiś cudzoziemiec, który nakłonił Matyldę do ucieczki z kraju.

Pytaliśmy w ambasadach, w przedstawicielstwach zachodnich firm. Cóż, człowiek nie encyklopedia, nie wiedzieliśmy, że to sławny belgijski malarz.

– Malarz? Żyjący?

– Nasze działania operacyjne wykluczają jakikolwiek rzeczywisty kontakt Matyldy z tym malarzem: on już od dawna nie żyje.

– A ona?

– O kontaktach w zaświatach nie mówimy, bo to nie nasza dziedzina. I na tym trop się urywa. Z kolei absurdem byłoby stwierdzenie, że Matylda... uciekła do obrazu i się teraz z nas śmieje.



Takie przypuszczenia mogą sobie snuć różdkarze i parapsychologowie, nie wspominając o wariatach, a nie przedstawiciele państwowej policji.

– Ale musiał ją znać! – wykrzyknął podniecony Karol. – Namalował ją przecież.

– Nasi informatycy twierdzą, że mogła skopiować za pomocą skanera zdjęcie swojej twarzy, a następnie nałożyć je na twarz nagiej kobiety, którą Delvaux namalował naprawdę. Być może w taki sposób stała się bohaterką obrazu. Technika jest jednak mniej istotna od tego, dlaczego zapragnęła się tam znaleźć i czy obraz jest dla nas jakimś tropem, informacją, jaką nam pozostawiła. Jeśli jest zatem prawdą, że nie znał pan jej zbyt dobrze, niczego więcej u pana nie wskóramy. Ale, mimo wszystko, prosimy: niech pan przypomni sobie wszystkie kontakty z Matyldą – szmery, odgłosy i dziwnych osobników. W tej dziwnej sprawie każdy element może się okazać niezbędny do mozaiki.

31

Pierwszy policjant podał Karolowi wizytówkę i uklonił się. Drugi niczego nie podał, tylko syknął na odchodne: – to faktycznie sprawa metafizyczna. Albo tak dziecinnie prosta, że jeszcze po latach będziemy się z siebie śmiać.

\*\*\*

– Czy ty słyszysz co do ciebie mówię? Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Karina wzruszyła ramionami: – Nie krzycz. Nie jesteś na stadionie.

– I co z tego, że nie jestem na stadionie. Nie jestem kibicem, jeśli chcesz wiedzieć, nie chadzam na stadiony. Pieprzę stadiony, mecze, sport i wszystkie gwiazdy sportu razem wzięte. Jestem zwykłym facetem, który wcale tak wiele nie oczekiwał od życia – chciałem po prostu dostać dobrą robotę, mieć trochę pieniędzy i fajną dziewczynę. Czy to tak wiele? – po wykrzyczeniu tej kwestii Karol opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę niczym wojownik, który skompromitował się jeszcze przed rozpoczęciem walki. Czekał na jej odpowiedź.

– Człowieku, pojęcie „wiele” jest bardzo rozległe. Dla jednego zdobycie dużej forsy i fajnej babki – co ja mówię? – setek babek, jest tak łatwe jak splunięcie. Albo coś w tym rodzaju. A dla drugiego jest marzeniem, którego nigdy nie zrealizuje. Będzie śnił o workach z pieniędzmi, na których leżą piękne syreny, takie od razu do ruchania, a po przebudzeniu będzie miał do dyspozycji jedynie worek z ziemniakami i własną rękę. Wybacz – nie wiem, do której kategorii należysz. Oczywiście nie wykluczam, że jest jakaś kategoria pośrednia: facet z forszą bez kobiet, albo Casanova, który nie ma szczęścia do interesów.

– Przestań, błagam cię, przestań. Wysłuchaj mnie. Ona wczoraj znikła. To znaczy weszła do obrazu jakiegoś belgijskiego malarza i jakkolwiek głupio to brzmi, jest tam po dziś dzień. Ale to oczywiście lipa. Skaner ją tam wsadził – komputery mogą wszystko, człowiek przy nich to mała, słaba mrówka. Gdzie jest prawdziwa Matylda, Bóg raczy wiedzieć.

Karina popatrzyła na Karola, jak na szaleńca; jak na postać ze sztuki, w której grała główną kobiecą rolę – może to był Dostojewski, może Tennessee Williams.

– Słucham cię, myślę, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

Wtedy Karol opowiedział jej o wizycie policjantów i o zniknięciu Matyldy. – I co o tym sądzisz? – pytał.

– Nic – odparła – ludzie znikają, potem pojawiają się i znowu znikają. Mówią, że ludzką rzeczą jest błądzić; sądzę, że ona teraz gdzieś błądzi. Kto wie, może jest bliżej niż sądzimy? Chyba nie wierzysz w to, że rzeczywiście wskoczyła do obrazu?

Karol nie był tego pewien.

\*\*\*

Wieczorem Karol zobaczył, że na podłodze jego mieszkania leżą odłamki szkła. Tym razem lustro pękło ostatecznie i nie odbijało już niczego, nawet tych niezwykłych widoków, które były w nim jeszcze poprzedniego dnia.

Postanowił pójść do Stefana i zapytać go, co sądzi o niezwykłym zachowaniu martwego, bądź co bądź, przedmiotu. Stefan sprawiał wrażenie człowieka doświadczonego, który na wszystko ma odpowiedź. Nagle za ścianą rozległ się zduszony krzyk i łoskot tępego uderzenia.

Karol zapukał do drzwi swego sąsiada, ale nikt mu nie odpowiedział. Zapukał drugi raz, i

znowu nic. Przypomnił mu się jakiś film, w którym bohater naciska na klamkę drzwi mieszkania  
32

człowieka, do którego przyszedł i bez problemu wchodzi do środka. Nacisnął klamkę. Tak samo, jak w tamtym filmie, drzwi otworzyły się, zapraszając Karola do wizyty u Stefana. Karol wszedł do środka. Po kilku krokach zobaczył coś przerażającego – na ścianie, niczym obraz, wisiał jego sąsiad. Wisiał na grubym sznurze, przymocowanym do potężnego kołka, wbitego w ścianę. Pod nim – nie wiedzieć czemu – stało kilka toreb z mąką. Karol nie musiał być lekarzem, by stwierdzić, że sina, zapluta twarz należy do człowieka, który już nigdy nie powie ani słowa – Stefan był trupem i to nie podlegało dyskusji.

Karol nie próbował sprawdzać mu pulsu – po pierwsze brzydził się umarłego, po drugie zaś nie chciał zostawiać na Stefanie swych odcisków palców. „A jeśli to nie było samobójstwo, tylko morderstwo?” – pomyślał. I wtedy olśniło go. Kołek, na którym wisiał Stefan był wbity głęboko w ścianę, ścianę działową, a więc niezbyt grubą. Kołek przebił ścianę na wylot i uderzył w lustro Karola. Stąd tę pęknięcia. Tylko dlatego lustro pękało powoli – najpierw jedna rysa, potem druga, potem drobna pajęczyna pęknięć. Być może Stefan wbijał kołek powoli, przez kilka dni, w nadziei, że się rozmyśli, że powód, dla którego planował samobójstwo, zniknie. Ale nie zniknął, rozbijając ostatecznie szkło lustra Karola.

– Dziwny widok, prawda?

Karol gwałtownie się odwrócił – naprzeciw niego stał znajomy Stefana, właściciel domu pogrzebowego. – Co pan tu robi – spytał Karol.

– A pan?

– Ja? Ja... tylko przyszedłem zapytać o lustro.

– Jakie lustro, czy chodzi o te lustra, które widział pan przed budynkiem mojej firmy?

– Nie, mówię o lustrze, wiszącym w moim mieszkaniu.

– A co Stefan miał z nim wspólnego?

– Teraz już wiem: wbił kołek, na którym powiesił. Kołek przebił moje lustro.

– I chce pan oczywiście zwrotu kosztów?

– Nie, niech pan nie żartuje. Nie miałem pojęcia, że...

– Nikt nie miał pojęcia. Chociaż, przyznam się panu szczerze, że niepokoiłem się o Stefana.

Od czasu, jak rozstał się z Matyldą, przestał być sobą. Nawet zmienił imię – kiedyś był Jackiem, potem – Stefanem. Zmienił w sobie wszystko z wyjątkiem... siebie.

– Z Matyldą?

– Tak, z Matyldą. Próbował uregulować swoje życie, zostać wielkim muzykiem, ale nic nie wyszło z jego planów. Wrócił do kraju, odnalazł ją, ale ona była już tylko chodzącą nienawiścią, chodzącą zemstą. Stefan próbował zapomnieć o niej, żeniąc się z inną kobietą – Cecylią, ale ten związek nie przetrwał próby czasu. Ona zresztą też żałowała tego związku; kochała życie, szczególnie w objęciach coraz to nowszych mężczyzn. Nie, nie była przesadnie atrakcyjna, ale – być może pan o tym wie – kobiety niezbyt piękne potrafią skuteczniej zakreślić faceta wokół swego palca niż ślicznotki. Ślicznotka bowiem nie stara się doprowadzić mężczyzny do prawdziwego szaleństwa, zadowala się jego pierwszym afektem, jakimiś wzniosłymi, a tak naprawdę głupawymi zapewnieniami o wiecznej miłości. Bo ślicznotka myśli, że wieczna adoracja ze strony mężczyzny należy się jej – jest dana raz na zawsze. I nawet nie zauważa, kiedy facet zaczyna dopatrywać się jakichś pęknięć w jej urodzie, coraz rzadziej obrzuca ją kwiatami i prezentami, kiedy coraz później wraca do domu. A brzydka, proszę pana, cały czas pracuje na swoją pozycję, prowadzi grę, dzięki której między nią a obiektem (jeśli można mi użyć takiego określenia) przebiegają elektryczne fale. Brzydka, jeśli już złapie, nie odpuszcza. Wracając do  
33

Cecylii to sędzę, że ona była pośrodku, ani zbyt piękna, ale też nie szpetna. Dlatego zabiegając o wierność Stefana, sama chętnie spoglądała na boki.

– Stefan coś mi opowiadał, ale nigdy tak do końca mu nie wierzyłem, tym bardziej, że swoje przeżycia okrywał woalem filmu.

– Filmu? – Twarz przedsiębiorcy pogrzebowego rozjaśniła się, jakby na wspomnienie jakichś

zabawnych chwil. – Dla Stefana wszystko było filmem, każda chwila jego życia, każdy krok. Wyobrażał sobie, że śledzi go kamera, komponował muzykę do każdej czynności, jakiej się oddawał. Gdy nalewał sobie whisky do szklanki – słyszał saksofon, gdy szedł do pracy – towarzyszyły mu dźwięki fortepianu. Może to patetyczne, ale wiem, że gdy kochał, słyszał całą orkiestrę symfoniczną: romantyczne skrzypce, dramatyczne trąbki i waltornie, liryczną harfę, gwałtowne kotły. Tak, to był niezwykle facet.

– Prawdę mówiąc, nie wiem czy jest w porządku, że tak rozmawiamy o muzyce, podczas, gdy on wisi na ścianie. Powinniśmy zawołać policję, lekarza.

– Przecież my nie rozmawiamy – to ja mówię, a pan słucha. Pan go nie znał. Co pan mógłby o nim powiedzieć?

– Ale policja, lekarz...

– Niech pan da spokój. Jeśli Stefan chciał się zgładzić, to zrobił to dobrze. Myślę, że nawet ten kolec mocował przez kilka dni, tak, by nie zawiódł do w najważniejszej chwili.

– Rzeczywiście, to mogło trwać kilka dni.

– Czyli jest jasne, że Stefan nie żyje. Jest martwy jak jasna cholera, nic go nie wskrzesi. Nikt go też nie zamordował – policja nie znajdzie tu żadnego tropu.

– A skąd się pan tu wziął?

– Byłem tu przed panem. Dwie godziny temu zadzwonił do mnie i powiedział: „jutro pójdziesz do pracy, będziesz żył swoimi sprawami. A ja już nigdzie nie pójde. Zaczne oczekiwanie. I ona przyjdzie – bo to było nam pisane. Ja jej, a ona mnie”. I odłożył słuchawkę. A ja wiedziałem co się stanie. I nawet nie próbowałem go powstrzymać.

– Bo jest pan przedsiębiorcą pogrzebowym, bo sprawy śmierci są dla pana czymś najzwyczajszym pod słońcem?

– Nie, bo byłem jego przyjacielem. I niech pan nie próbuje mnie osądzać i prawić morały. Kim pan jest? Jakimś gnojkiem, proszę mi wybaczyć to określenie, któremu pękło lustro? Myśli pan, że dla mnie Stefan, to tylko towar, który włożę do trumny, zawiozę na cmentarz i zakopię w ziemi? Racja – zrobię to i jeszcze kupię mu najpiękniejszy wieniec, jaki kiedykolwiek widziano na cmentarzu.

Człowiek w czarnym garniturze zamilkł. Przetarł spocone czoło i spojrzał na Stefana.

Podszedł do niego – i popchnął niczym wahadło. Ciało Stefana zabujało się niczym spadochroniarz, po czym zatrzymało. Przedsiębiorca pogładził włosy wisielca, po chwili znowu mówił. – Powiedzmy, że to wszystko dzieje się w filmie. Stefan kochał film, i pan o tym wie. No więc, wszystko dzieje się w filmie – Stefan kocha Matyldę, ona kocha jego. Są szczęśliwi, ich miłość rozwija się, jak w pięknej baśni, ku radości ich samych i ich rodzin. Może brak w niej jachtów na Morzu Śródziemnym, eleganckich limuzyn, wystawnych przyjęć, mrożonego szampana Dom Perignon, jednak te rekwizyty są tu zbędne. Miłość przybiera absolutnie czystą. Ale ona pragnie ożenić się z nim jak najszybciej, mieć dzieci, taki dom, jak wszystkie jej przyjaciółki, od czasu do czasu zorganizować jakieś przyjęcie dla tych przyjaciółek i to wszystko. A Stefan chciał więcej – jego marzeniem była kariera, jakakolwiek, byle duża, więc wyjeżdża do Nowego Jorku i, co tu kryć, porzucił ją. Głupio zrobił, bo w imię jakichś nieokreślonych

34

wyższych celów zostawił dobrą dziewczynę, ale przecież wierzył, że w końcu wróci, opromieniony sławą, a ona wybaczy mu tę zdradę, nie zdradę.

I to jest ten film. A pan, choć powinien pan siedzieć na widowni i połykać prażoną kukurudzę, jest jednym z aktorów i gra swą niemą rolę. Nie wiadomo, co pan tu robi – być może jest pan narratorem, ale czy ktoś słyszy pański głos? Może odgrywa pan taką samą rolę jak narrator w „Wielkim Gatsbym?”, ale ani Stefan Gatsby, ani pan... Nieważne. Jest pan w tym filmie.

– Czy Matylda...

– Tak, Matylda, która była pańską sąsiadką to właśnie dziewczyna Stefana. Bo on ją w końcu znalazł – przecież po to wrócił z Nowego Jorku. Mimo tego, że nie zrobił tam żadnej kariery; wyczyścił wszystkie buty Ameryki i z brudem pasty za paznokciami przyleciał do kraju. Mieszkali obok siebie, ale ona już nie chciała go znać. Może zresztą tylko udawała obojętność:

podczas gdy wieszala na ścianie obrazki z lokomotywami, on myślał, jak tu powiesić siebie.

– Widziałem u niego brzytwę, właściwie kilka brzytw. Kto dziś goli się brzytwą?

– Myśli pan, że byłoby logiczne, gdyby popełnił samobójstwo, podcinając sobie brzytwą żyły albo gardło? Nie – to było by zbyt proste, wręcz niesmaczne. Być może, gdyby to pan reżyserował ten film...

– Nie tylko ja. Jeśli w filmie pojawia się pistolet, znaczy to, że niechybnie wystrzeli. Tak samo nóż – na pewno będzie przyczyną jakiegoś nieszczęścia.

– Proszę pana – przecież ta brzytwa jeszcze może okazać się przydatna. A nawet jeśli na tym kończy się jej rola, to coś jej obecność oznacza. Niech pan ją potraktuje jako symbol Stefana, jego życia. Nigdy nie osiągnął tego, czego pragnął. Wyjechał za Ocean by zostać sławnym – wrócił jako człowiek przegrany. Kochał kobietę, ale sam z niej zrezygnował. Potem próbował naprawić swój błąd, ale niczego nie wskórał. A brzytwa? Powiedzmy, że zgodnie z logiką pisana mu była śmierć z jej ostrza. Jednak życie Stefana było nielogiczne i śmierć również.

W tym momencie Karol uświadomił sobie, że wdał się w dyskusję nad różnymi koncepcjami filmu, podczas gdy obok wisi martwy człowiek, pierwszy trup, jakiego w życiu widzi. Poczul się nieswojo, a gdy powiew wiatru, który wpadł przez uchylone okno, przyniósł mu dziwnie słodki zapach, zachwiał się na nogach.

– Zawołajmy policję, lekarza, stróża, kogokolwiek, niech zwłokami Stefana zajmie się ktoś odpowiedni – szepnął.

– A ja, przedsiębiorca pogrzebowy, super grabarz, czy ja nie jestem człowiekiem odpowiednim?

– Tak, oczywiście, będzie pan odpowiedni, ale potem, jak już wszyscy go zobaczą, dotkną, wystawią dokument – wtedy pan wkroczy do akcji.

Super grabarz spojrział na Karola z politowaniem: – Widok trupa to rzecz normalna w mojej firmie. Nie da się być jej pracownikiem, nawet księgowym, nie oglądając naszych klientów. Czy wyobraża pan sobie pracownika kopalni, który nie widział węgla? To, wbrew pozorom, dobra analogia.

Właściciel zakładu pogrzebowego zamilkł na chwilę. Spojrział na to, co pozostało po Stefanie, a jego twarz wykrzywił grymas – myślał o czymś wyjątkowo nieprzyjemnym; o czymś, co z reguły nie bywa udziałem przeciętnego zjadacza chleba.

– Wie Pan – powiedział cicho, i jakby z nutą żalu w głosie – wczoraj załatwiałem ostatnią drogę dla gangstera.

– Co to ma wspólnego ze Stefanem? – zdziwił się Karol.

35

– A czy musi mieć coś wspólnego? Po prostu przypomniało mi się. Prawdę mówiąc nie mogę przestać o tym myśleć: gdyby Pan zobaczył ciało poszarpane kulami...

– Nie widziałem, i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę. Zresztą gangster wie, na co się decyduje zostając tym, kim jest. Śmierć jest częścią życia gangstera...

– Dobrze powiedziane – smutno uśmiechnął się mężczyzna w czerni – Ale dotyczy to chyba każdego z nas, nie tylko gangsterów.

– A jednak! Kiedy umiera zwykły człowiek, taki, co to nigdy nie skrzywdził drugiego człowieka, a przynajmniej nie w takim stopniu, w jakim czynią to gangsterzy, mafiozi i inni mordercy – jego śmierć stanowi coś, jakby to powiedzieć?, wprawdzie zapowiedzianego, oczywistego, ale jednak pozostającego w absolutnej sprzeczności z życiem. A gangster umiera, tak samo, jak strzela do innych ludzi, kradnie samochody, fałszuje pieniądze. Gangster musi umrzeć, jeśli chce mieć poczucie, że żyje pełnią życia. Normalny człowiek, żyje po to, by żyć; gangster – by umrzeć. Nawet długoletnia odsiadka w więzieniu nie zastąpi pięknej śmierci w ulicznej strzelaninie.

– Nie wiedziałem, że ma pan skłonność do filozofii.

– Niech pan ze mnie żartuje. To nie filozofia – mówię jedynie to, co myślę.

– I to jest właśnie filozofia. Myśli pan, myśli, idee kielkują w pana głowie, jedne więdną ledwie wyrósłszy nad ziemię, inne kwitną, pięknieją, stają się własnością całej łąki.

– Gdyby nie okoliczności, powiedziałbym, że... proszę mi wybaczyć, że pan pierdoli.  
– Ale nie powie pan, bo na ścianie wisi człowiek? I w ogóle jakoś tak jest dziwnie? Chyba idzie na deszcz, spada ciśnienie, ogólne samopoczucie pogarsza się.  
Karol nie odpowiedział, zacisnął usta i postanowił za wszelką cenę zmienić temat. Zdał sobie bowiem sprawę, że w tej sytuacji nie miał szans w słownym pojedynku z człowiekiem, który żyje dzięki śmierci innych. Ale pierwszy odezwał się przedsiębiorca.  
– Zdaje się, że nie lubi pan gangsterów.  
– Oczywiście, że nie.  
– Jednak, kiedy gangster ginie – Bóg płacze.  
– Łatwo Bogu płakać, kiedy nie boi się gangstera. Bóg może sobie pozwolić na luksus miłości wobec każdej swojej owieczki, nawet takiej z pistoletem maszynowym. A ja... Ja boję się bandytów i cieszę się – cholera, może to nie do końca właściwe słowo – kiedy znikają z tego świata. Czuje się bezpieczniej, nawet mając świadomość, że na miejscu zabitego, pojawiło się kilku nowych, jeszcze bardziej niebezpiecznych.  
– Może ma pan rację... A w ogóle to my chyba przypisujemy Bogu zbyt wiele intencji, wydaje nam się, że decyduje on o losie każdej istoty we wszechświecie, pochyla się nad każdym pobitym i gniewa na bijącego. Gdzie by On miał na to wszystko czas. Jeśli jednak ma ten czas, to postrzegamy go jako, może sprawiedliwego, ale jednak okrutnego despotę. Nieskończoną dobroć w szale krzywdzenia. Jakiś czas temu – pan oczywiście o tym słyszał – urodziły się w Anglii syjamskie bliźniaczki. Jedna z mózgiem, sercem, wątrobą i tymi wszystkimi anatomicznymi szczegółami niezbędnymi człowiekowi do życia, druga zaś z ledwie rozwiniętą przysadką mózgową, bez serca, właściwie samo ciało. Dni obu dziewczynek, w tym przedziwnym siostrzanym uścisku, były policzone. Sąd nakazał więc natychmiastowe rozdzielenie sióstr, przy czym było jasne, że ta druga umrze natychmiast po rozdzieleniu. Jeszcze na stole operacyjnym. Rodzice bliźniaczek nie chcieli się jednak zgodzić na tę operację. Według nich nie należało przeprowadzać operacji, ale pozwolić umrzeć dziewczynkom. Jak powiedzieli: zgodnie z wolą bożą. A ja się pytam, skąd my wiemy, że wolą bożą było, aby dziewczynki umarły?

36  
że nie targał nerwowo brody, patrząc na ziemię i krzycząc: rozdzielcie je, do cholery, nie dajcie umrzeć tej, która umrzeć nie musi? Dałem wam rozum, więc skorzystajcie z niego!

– No... – odparł Karol. Po czym dodał zmieniając temat: – powtarzam, powinniśmy wezwać policję.

Nagle usłyszeli jakiś chrobot – to potężny kołek, utrzymujący Stefana wysuwał się ze ściany i chwilę później z tępym łoskotem samobójca spadł na torebki z mąką. Pokój zasnuła biała poświata. Gdy opadła, Karol zobaczył zupełnie białą, upiorną twarz Stefana.

Przedsiębiorca zasłonił twarz, poczym pokręcił głową z niesmakiem. – Boże, jak tu śmierdzi. Pan chce wołać policję, lekarzy, a nie czuje pan tego cholernego smrodu? Najpierw trzeba otworzyć okna, wyszorować ściany, wyperfumować pokój, a dopiero potem zapraszać gości. Karol, czując ów dziwny zapach, choć może jeszcze nie smród – Stefan przecież jeszcze nie zaczął się rozkładać – nie zaprzeczał. Poczekał chwilę, po czym spytał:

– Co oznaczają te torby z mąką? Czy chciał nam coś dać do zrozumienia?

– Nie, miał małe, nie umeblowane mieszkanie. Stawiał rzeczy gdzie popadło. Wieształ się szybko, nie myślał o jakiejś uroczystej oprawie śmierci, mówiąc banalnie – nie posprzątał mieszkania, sprzątnął jedynie siebie. Równie dobrze na miejscu mąki mógłby stać kosz na śmieci, albo waga kuchenna. Nie patrzył na to, co go otacza, miał przed oczyma tylko ją.

– Myśli pan, że ona też nie żyje?

– Żyje, nawet jeśli jest w jakimś niedostępnym dla nas wymiarze. Dokonała zemsty, a może zemsta wymknęła się spod jej kontroli. Kto wie? Niech pan będzie spokojny – wkrótce o niej usłyszymy. Mam niejasne wrażenie, że teraz ona i pan będziecie głównymi bohaterami tego filmu.

\*\*\*

– Widziałeś to? – głos Kariny zdradzał wyraźne wzburzenie. Jednak Karol, który spotkał

obiekt swych westchnień na teatralnym korytarzu, patrzył gdzieś przed siebie. Wydarzenia poprzedniego dnia – najbardziej drastyczne w jego życiu – znieczuliły go na wszystko, co działo się wokół. Wciąż miał przed oczyma trupa Stefana, urywającego się ze ściany i mączny pył, jaki otoczył ów ponury pokój. I słowa przedsiębiorcy pogrzebowego: Boże, jak tu śmierdzi...

– Czy ty mnie słyszysz? A może jesteś ciągle na mnie obrażony? Prawda jest prawdą – nie zmienisz tego. Owszem, lubię cię, ale podtrzymuję to, co powiedziałam. No, dobrze – może nie powinnam tego powiedzieć, przynajmniej nie w taki sposób, ale, zrozum, takie są kobiety. Mam wrażenie, że nie masz w tym względzie dużego doświadczenia.

Karol tępym wzrokiem popatrzył na Karinę i uśmiechnął się

– Czemu się głupio uśmiechasz? Zaraz coś ci takiego pokaże, że się zdziwisz.

– Widziałem trupa – wyszeptał Karol, nie przestając się uśmiechać.

– Jakiego znowu trupa?

– Tego trupa, którego wynoszą pod koniec drugiego aktu.

– Bredzisz.

– Nie, nie bredzę. Pierwszy akt rozpoczął się w dniu, kiedy zamieszkałem w tej starej kamienicy. Jeszcze nie wiem dokładnie kiedy się skończył, ale wiem, że to już się stało. Mam kilka wariantów, ale to nieważne. Potem autor zawiązuje intrygę: ktoś kogoś kochał, miłość była nieszczęśliwa, dochodzi do rozstania, ale jego skutki promieniają na cały świat. Przesadzam – na kilka osób, dotychczas nie związanych z całą sprawą: na ciebie, na mnie.

37

– O czy ty mówisz?

– O trupie Stefana – mojego sąsiada, który, jak się okazuje, był narzeczonym Matyldy.

Pamiętasz – tej dziewczyny, która nagle znikła, rozpląnęła się, wchłonął ją skaner. Oni kiedyś byli razem, potem on ją porzucił, ona na niego czekała, ale kiedy wreszcie się pojawił, ona już nie chciała do niego wrócić.

– Boże, prawie tak, jak w „Pogardzie”.

– Owszem, bardzo podobnie. To znaczy wszystko jest inne, z wyjątkiem głównego przesłania – nie ma powrotu do miłości. Wydawało mi się, że ta sztuka to kolejny łzawy dramat, trochę staroświecki, trochę naiwny, co ja mówię – cholernie naiwny, a tymczasem... On się powiesił.

– Przecież nie wiadomo, czy zrobił to przez nią. Może to było pozorowane samobójstwo, a tak naprawdę morderstwo? Czy to był człowiek zamożny?

– Chyba nie. Rozmawiałem z jego krewnym, właścicielem zakładu pogrzebowego. Potworny człowiek, zupełnie jak z jakiegoś filmu grozy. Stefan wisiał, a my staliśmy obok i rozmawialiśmy. Ten facet mówił coś o muzyce, o fortepianie, o orkiestrach symfonicznych.

– Czy ci się to przypadkiem nie przyśniło? To przecież brzmi niewiarygodnie. Ale... ja też mam dla ciebie coś dziwnego. Być może drugą część zagadki Stefana. I – tu już posłużę się twoją metaforą – początek trzeciego aktu. Przeczytaj co piszą w „Monitorze”.

Podalała mu gazetę, otwartą na drugiej stronie. Tytuł artykułu, który wskazała Karolowi Karina brzmiał „Tajemnicze zniknięcie pisarki”. Karol zaczął czytać.

„Właśnie miała zadebiutować jako dramaturg. Najlepszy teatr w mieście podjął się wystawienia jej pierwszej sztuki „Pogarda”, która otrzymała najwyższe noty krytyków. Ale w przeddzień premiery, Matylda S., uważana za jedną z najzdolniejszych (i najładniejszych – przyp. autor) pisarek młodego pokolenia znikła bez śladu. Policja jest bezradna – poszukiwania nie naprowadziły funkcjonariuszy na żaden trop. Jedyne co usłyszeliśmy na komendzie, to to, że „rozpląnęła się jak kamfora”. W mieszkaniu Matyldy S. natrafiono na obraz belgijskiego malarza, Paula Delvaux, na którym... widać młodą pisarkę. Jakim cudem znalazła się na obrazie – tego nie potrafili wyjaśnić ani policyjni biegli, ani osoby, parające się parapsychologią. Przed domem pisarki rozmawialiśmy z pragnącą zachować anonimowość sąsiadką, która powiedziała krótko: – to musi mieć jakiś związek z miłością. Ta dziewczyna żyła miłością, literaturą i malarstwem. Nie, wie pan – jest jeszcze coś... Mówią, że wielkim sentymentem darzyła pociągi. Dziwne, być może kochała maszynistę lub konduktora. Niesamowita dziewczyna, w spojrzeniu miała coś takiego nieopisanego, kiedy patrzyła – przechodził człowieka prąd. Nie, nie bałam się jej, tylko czułam,

że musi mieć jakiś związek z pozaziemskimi siłami. A przynajmniej, że rozumie więcej niż zwykli ludzie.

Tyle sąsiadka. Na razie o losie zaginionej nic więcej nie wiadomo. O tej sprawie będziemy czytelników informować na bieżąco. Tak czy inaczej, dyrekcja miejskiego teatru nie zamierza odwoływać premiery, ubolewając jedynie, że prawdopodobnie odbędzie się bez udziału autorki sztuki „Pogarda”.

\*\*\*

– Dziękuję ci, Stary. Chociaż, mówiąc szczerze spodziewałam się lepszego artykułu. Nie, nie – co do porwania wszystko w porządku, a rozmowa z sąsiadką bardzo mnie rozbawiła. Ale liczyłam na to, że promocja mojej skromnej osoby będzie nieco inteligentniejsza. No to co, że jestem debutantką i nie mam jeszcze żadnego dorobku!? Gdybym miała, nie potrzebowałabym

38  
twojej pomocy. Zrobiłaś ze mnie jakąś nawiedzoną, która kocha kochać i czytać książki, a poza tym chodzi po torach. Myślisz, że to naprawdę frapująca informacja? Niestety, w dzisiejszych czasach coraz trudniej wzruszyć ludzi takimi jarmarcznymi opowieściami. Ta twoja historyjka bardziej pasuje do żywota jakiejś świętej. A czemu nie? Oczywiście, że święte jeżdżą pociągami. Skąd wiesz, ile świętych podróżowało dzisiaj kolejami? Nieważne – na przyszłość napisz, że mam jednak jakiś dorobek i że w najbliższych numerach twoja gazeta opublikuje jakieś moje opowiadanie czy esej. Co z tego, że to nieprawda? Teraz nieprawda, a za chwilę, to znaczy wtedy, kiedy napiszę te opowiadania, wszystko będzie prawdą. Co ty powiedziałeś? Że nic z tego nie masz? Co ty sobie wyobrażasz, że ja jestem dziwką? Przyjaźnimy się – to chyba do czegoś zobowiązuje. Och, nie mów tak, że to tylko ty się ze mną przyjaźnisz. Daję ci słowo, że gdybyś chciał zaistnieć jako pisarz i miał za kilka dni premierę, a ja byłabym dziennikarką poczytnej gazety, pomogłabym ci. Dlaczego pytasz mnie o Stefana? Dawno go nie widziałam, przecież wiesz, że już tam nie mieszkam – nie pytaj gdzie jestem, i tak ci nie powiem – i nie spotykam go nawet na schodach. Kiedy dowie się, że to ja jestem autorką „Pogardy” pożałuje... Okaże się, że to ja zrobiłam karierę i to tutaj, bez potrzeby zniżania się w Nowym Jorku do poziomu pucybuta, a nie on. Co!? Ty żartujesz? Jak to – Stefan nie żyje? Powiesił się? Dlaczego... O Boże! A może to tylko kiepski dowcip. Oczywiście jego, nie twój. Bo jeśli ja udaję porwaną czy zaginioną, wszystko jedno, to on może udawać powieszzonego. Ma w tym wprawę. Pamiętasz – opowiadałam ci, jak jego kumpel przysyłał mi listy, że Stefan nie żyje. Chciał, bym myślała, że nie żyje; bym nie myślała o nim, jako o zdrajcy, tylko nieszczęśniku, któremu nie powiodło się w życiu. Naprawdę widziałeś zdjęcia z policyjnych oględzin? A jeśli to nie on...

Boże, nie, nie tego chciałam. Muszę kończyć.

Matylda odłożyła słuchawkę, po czym wybuchła płaczem. Gdy nieco uspokoiła się, szepnęła do ściany: – nie tego dla niego chciałam.

I dodała ocierając łzy: – a może jednak tego?

\*\*\*

– Zadzwońmy do tego dziennikarza! – Karina już chwyciła za słuchawkę telefonu, stojącego na stoliku w garderobie, gdy Karol ją powstrzymał: – Po co, myślisz, że powie ci o czymś, czego nie napisał? Właściwie dlaczego chcesz znać prawdę.

– A kto mówi, że to ja chcę znać prawdę? Uważam, że to ten dziennikarz powinien ją poznać.

– Tak? A ty oczywiście wiesz, dlaczego Matylda znikła i gdzie się znajduje? A może powiesz, że był sobie taki jeden Stefan, który był kochankiem – czy jakkolwiek to nazwiemy – Matyldy i teraz nie żyje?

– Nie bądź cyniczny. Nie do twarzy ci z tym.

– A z czym mi do twarzy?

– Posłuchaj, Karol – Karina surowo spojrzała na swego adoratora – obiecuję pomyśleć nad twoją twarzą, ale na razie są rzeczy ważniejsze. Nie umiem tego udowodnić, ale sędzę, że zniknięcie tej dziwnej dziewczyny i śmierć twojego ponurego sąsiada mają ze sobą coś wspólnego. Nie tylko to, że byli kiedyś parą.

– Jasne – ten kto porwał Matyldę, zamordował Stefana...

– A jesteś pewien, że to samobójstwo?

– Daj spokój – takie sytuacje zdarzają się tylko w twoim środowisku naturalnym, czyli w uludzie zwanej teatrem, czy szerzej – literaturą. Skłamałbym mówiąc, że byłem przy Stefanie w 39

momencie, gdy popełniał samobójstwo, ale nie wierzę w morderstwo. Zresztą ten jego krewny – właściciel zakładu pogrzebowego był tam przede mną... I też nie widział żadnego mordercy, choćby potencjalnego.

– No i... Naprawdę nic ci nie przychodzi do głowy?

Karol już miał wzruszyć ramionami i znużonym głosem oświadczyć, że nic mu nie przychodzi do głowy, jakkolwiek ta głowa nie tylko zdobi jego kark, ale też służy do skomplikowanych intelektualnie czynności, gdy nagle coś go olśniło. Tępym wzrokiem powiódł po szeregu luster garderoby, odbijających jego zdumioną twarz i wyszeptał: – Jezu... To przecież niemożliwe.

– Tak? – spytała aktorka z lekko wyczuwalną nutą ironii w głosie. – Niemożliwe? A niby dlaczego nie? Skąd wiesz, co łączyło, a co dzieliło oby panów? Być może Matylda nie miała z tym związku, być może chodziło o jakieś pieniądze lub inne dobra, niekoniecznie fizyczne? Nie wykluczam też płomiennego uczucia, jakie przyciągało Stefana i karawaniarza – nawet nie wiesz, ilu mężczyzn podnieca się widokiem innego męskiego ciała. Z jednej strony żona, z jej bagażem kobiecości, nie zawsze zresztą życzliwej męskim potrzebom i kaprysom, z drugiej przyjaciel, zwany potocznie krewnym. A – kto wie – gdzieś w środku była kochanka, która musiała zniknąć.

– Nie, nie, bzdura, byłem, wiem, nie mam takiego przeczucia – bełkotał Karol. Jego wyobraźnia rozpoczęła projekcję upiornych sensów, w których przedsiębiorca pogrzebowy to zaciskał swe delikatne, wypielęgnowane dłonie na szyi Stefana, to dusił go mokrym ręcznikiem; to całował czule nieboszczyka w zsiniałą grdykę, to wymierzał mu siarczyste policzki.

– Dzwonimy – spytała rzeczowo Karina.

– Tak, ale to ty będziesz rozmawiała.

Aktorka znalazła w gazecie numer telefonu autora artykułu i już chwilę potem rozmawiała z nim.

\*\*\*

– Tak, proszę pani, wiem o tej tragedii. Owszem, skądinąd wiadomo mi o pewnych związkach, oczywiście nieformalnych, jeśli można tak powiedzieć, łączących denata z pisarką. Nie, nie sądzę, bym musiał spowiadać się pani z tego – po prostu wiem o tym. Nie mam zwyczaju zdradzać swoich źródeł informacji. Moja praca, praca dziennikarza polega na ścisłej współpracy z różnymi informatorami – to dzięki niej prasa jest ciekawa, a zamieszczane na jej łamach artykuły wywołują taki rezonans społeczny, ba – obalają rządy, trzęsą sceną polityczną. Nie, proszę pani, ja mówię zupełnie szczerze, po prostu mam taki, a nie inny styl bycia. Wobec przyjaciół, z którymi spotykam się na gruncie towarzyskim jestem zupełnie inny, ale – proszę mi wybaczyć – nie znam pani i nie widzę powodu odgrywać rolę jakiegoś serdecznego kompana. Jestem w pracy. No dobrze, posłucham... Tak... Tak?... Tak?!... A to dobre!... O w mordę!!!

\*\*\*

– Widzisz, zupełnie zgłupiał! – wykrzykiwała podniecona Matylda. – On coś wie, choć, zdaje się, ma wiedzę z nienajlepszego źródła. Podejrzewam, że zna dobrze naszego dramaturga (rodzaj żeński). I by może wie, gdzie się ukrywa.

– Myślisz, że się ukrywa? – spytał Karol, który, by cokolwiek zrobić ze swymi drżącymi rękami, malował kółka na lustrze.

40

– Jak dotąd nie zgłosili się porywacze. No, chyba, że naprawdę skaner uczynił więcej, niż od niego oczekiwała i na wieki wieków wchłonął ja do obrazu Delvaux.

– Daj spokój...

– Dobrze. Sądzę, że tu był pewien plan, być może jej, być może ona tylko stała się częścią jakiegoś planu. Mam taką wersję, choć brzmi absurdalnie, niczym z jakiejś groteski. Oto młoda pisarka staje przed szansą kariery – liczący się w mieście teatr postanawia wystawić jej sztukę.



Sztuka jest wprawdzie dość naiwna i mówiąc szczerze nieporadnie napisana, ale bardzo szczerza – bądź co bądź autorka przelała na papier własne przeżycia, czego krytycy nie wiedzieli.

Dziewczyna żyje w takich, a nie innych czasach – zdaje sobie sprawę, że reklama i promocja są dźwignią handlu, także w sztuce. Toteż organizuje przebiegłą kampanię promocyjną – finguje własne zniknięcie, dbając jednocześnie o to, by media zainteresowały się jej dramatem. Być może się mylę, ale mam wrażenie, że ona gra tę rolę w duecie z naszym znajomym dziennikarzem, który – jak pamiętasz – bardzo pochlebnie się wyrażał o jej zdolnościach literackich. Że była najzdolniejsza w swym pokoleniu. A niby na jakiej podstawie? Gdzie są te jej wcześniejsze utwory? Po prostu ich nie ma. Ale przecież czytelnik nie będzie takich kwestii roztrząsał, ufając w każde wydrukowane słowo. I nie ma wątpliwości, że na premierę „Pogardy” stawi się nie tylko miejscowa elita, ale także ci, których normalnie taki debiut w ogóle by nie interesował. A jaka będzie wrzawa w mediach. Może nawet telewizja nada na żywo jakieś wejście z tego przedstawienia.

– A ty, jako odtwórczyni głównej roli, zyskasz tyle samo, co Karina.

– Twoja przebiegłość kwalifikuje cię do innych zajęć, niż te, które wykonujesz etatowo. Jesteś detektywem ostatniej akcji. Snajperem z odległości jednego kroku. Ja rozwiązuję zagadkę, a ty aresztujesz wszystkich w promieniu dwóch kilometrów. Albo strzelasz „po oczach”.

– Podoba mi się twoja wersja, nawet jeśli jest mocno naciągana. Ale gdzie tu miejsce na morderstwo, jaka rolę w tej promocji sztuki odgrywał Stefan i jego krewny?

– Nie wiem. Zadzwoń jeszcze dziś do dziennikarza i zablokuj, mówiąc, że tak samo jak on mam swoje źródła i te źródła poinformowały mnie o całej aferze ze zniknięciem Matyldy. I, oczywiście, roli, jaką odegrała w niej prasa.

– A ja pójdę do zakładu pogrzebowego.

– Powiesz, że wiesz o morderstwie?

– Trochę inaczej – że znajomy dziennikarz chodzi po śladach tych wszystkich, którzy byli w mojej kamienicy, gdy Stefan rozstawał się ze światem. I że pewne ślady prowadzą do pobliskiego zakładu pogrzebowego.

\*\*\*

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Karol drżącą ręką zapukał do drzwi gabinetu szefa zakładu pogrzebowego. Nikt mu nie odpowiedział, więc zastukał jeszcze raz. Wtedy usłyszał jakiś bełkot – był to bełkot na tyle zyczliwy, że Karol odważył się nacisnąć klamkę i uchylić drzwi. Spojrzał przed siebie i zastygł w bezruchu. Szef – owszem – był w gabinecie, ale sytuacja, w jakiej go zastał wydawała się Karolowi nie tylko dziwaczna, ale wręcz upiorna. Szef, jak zwykle ubrany w czarny garnitur siedział na niskim taborecie przed wiekiem jakiejś olbrzymiej, bogato zdobionej trumny. Na wieku leżała biała, pomięta papierowa serwetka, a na niej talerz z okrawkami mięsa – były wśród nich i kawałki wędlin i świeże mięso. Obok talerza stała opróżniona do połowy

41  
butelka czerwonego wina. To było ubiegłoroczne beaujolais premier. Z głośnika magnetofonu dobiegała muzyka symfoniczna.

Karol nie wiedział, czy powinien podejść do wkładającego sobie właśnie kawałek krwistego mięsa szefa i podać mu rękę czy też wycofać się jak najszybciej. Stał więc z szeroko rozwartymi ustami i tępo patrzył przed siebie.

– Widzę, że jest pan zaskoczony – pierwszy odezwał się szef. – Dziwi pana pewnie, że pije ubiegłoroczne beaujolais. Fakt, nie powinienem, ale – sam pan rozumie – zostało mi z ubiegłej jesieni i żal mi było wylewać. Zresztą, wbrew obiegowej opinii, nawet to wino, im starsze tym lepsze.

– Nie, nie dziwi mnie to wcale – wyszeptał Karol

– To świetnie. Ale pan cały czas spięty. Może nie podoba się panu muzyka? Zapewne pan poznaje – to Smetana, jego poemat symfoniczny „Weltawa”. Nie jest to muzyka zbyt odkrywczą, wielcy mistrzowie romantyzmu wymyślili już wszystko przed Smetaną, ale dobrze się tego słucha.

– Nie chodzi mi też o muzykę...

– No więc, o co? – szef wpakował sobie do ust wielki kawałek mięsa i popił szklanką wina.  
– O pewnego dziennikarza, który nie wierzy w samobójstwo Stefana i krąży po mieście. A szczególnie po kamienicy, w której mieszkam. Ktoś mu powiedział, że był pan w mieszkaniu mego sąsiada, gdy ten wisiał na sznurze. I on wysnuł teorię... Taką, może trochę nawiną, wręcz nieprawdopodobną, ale, sam pan rozumie, ja wobec jego argumentacji jestem bezbronny. Bądź co bądź niczego nie wiem; kiedy przyszedłem do Stefana, on już nie żył. A pan żył i był obok niego. Szef otarł usta serwetką i popatrzył smutno na Karola. – Proszę, niech pan mówi – powiedział.

\*\*\*

Karina spotkała się z dziennikarzem. Powiedziała mu, że jest aktorką, która gra w sztuce Matyldy główną rolę, ale jednocześnie przyjaźni się z człowiekiem, który dobrze znał jej byłego kochanka. Skłamała też, że następnego dnia ma udzielić wywiadu znanemu dziennikarzowi konkurencyjnego dziennika i zamierza opowiedzieć mu o całej sprawie. O tym, że Matylda zainscenizowała swoje zniknięcie, tylko po to, by przyciągnąć uwagę widzów i prasy. I, że pomógł jej w tym pewien młody dziennikarz. Widząc oczyma duszy swą kompromitację i – co gorsza – utratę pracy, dziennikarz przyznał się do wszystkiego, wyznając, że został wykorzystany przez kobietę, którą kochał tyle lat, a która kochała innego mężczyznę. Matylda obiecała zachować całą sprawę w tajemnicy, a nawet zgodziła się (tak naprawdę bardzo tego pragnęła) udzielić mu wyłącznego wywiadu do wydania w dzień premiery „Pogardy”. Potem Matylda starała się go przekonać do podjęcia tropu w sprawie ewentualnego zabójstwa Stefana przez szefa zakładu pogrzebowego, ale dziennikarza ten wątek za bardzo nie interesował. Interesowała go bowiem – z chwili na chwilę coraz bardziej – siedząca przed nim dziewczyna. Prawie Matylda, bo przecież wcielająca się w rolę jego ukochanej, a przy tym pozbawiona (raczej, raczej!) jej wad i jej uczuć do jakiejś fatamorgany jaką był Stefan. A przy tym Karina była o wiele ładniejsza od Matyldy, promieniowała urodą absolutną, urodą wschodzącej gwiazdy, nie była li tylko – jak tamta – tak zwaną kobietą interesującą, towarem dla koneserów, ale po prostu ślicznotką. I dużo ładniej mówiła, gdy zaszła potrzeba potrafiła się nawet odwołać do cytatów literackich. Gdy z błyskiem w oku opowiadała o szefie zakładu pogrzebowego i fantazjowała, w jaki sposób mógł on zgładzić nieszczęsnego Stefana, rzuciła kilka zdań z Szekspira. Dziennikarz odwzajemnił się jej dwoma

42

czy trzema cytatami z amerykańskiego kina akcji, ale tak naprawdę nie bardzo słuchał dziewczyny.

A ona – jak to wschodząca gwiazda – uznała, że znajomość z przedstawicielem liczącego się pisma pomoże jej osiągnąć szczyty. Widziała się już jako Julia.

On też ją widział jako Julię. A siebie jako Romea.

Tyle, że obojgu nie podobało się zakończenie szekspirowskiego dramatu.

I oboje – nie przyznając się do tego wzajemnie – przypomnieli sobie pornograficzne filmy, jakie ostatnio widzieli.

I byli skłonni w nich zagrać.

Jako statyści.

Nie, jako bohaterowie drugiego planu.

A może jako główni bohaterowie?

Właściwie, czemu nie – życie należy do tych, którzy pragną z niego korzystać.

Stefan nie umiał, Matylda błąka się po manowcach, sądząc, że zdąży do zwycięstwa. Karol szuka prawdy w zakładzie pogrzebowym.

A to wszystko jest takie proste – tylko wyciągnąć ręce, gdy druga osoba wyciąga.

I... pomóc sobie wzajemnie.

Tej nocy pomogli sobie.

\*\*\*

Przedsiębiorca pogrzebowi nie przerywał Karolowi – pozwolił mu opowiedzieć historię o dziennikarzu, którzy drażny temat ewentualnego zabójstwa Stefana. W czasie, gdy Karol, jękając się i pocąc wylewał z siebie urywane zdania, jadł mięso i popijał winem. Po kilkunastu minutach zapadło milczenie – Karol skończył i wbił wzrok w przedsiębiorcę. Ten spytał: – czy to już

koniec?

– Tak, koniec. Czy to mało?

– Nie. – odparł spokojnie zapytany i pociągnął ostatni łyk rubinowego napoju. – Wcale nie tak mało. A zważywszy na to, że podobne historie przeważnie mają wiele wątków, wiele tez i niejasności, mógłby pan mówić o wiele dłużej. Tym bardziej, że pan nie do końca wierzy w to co pan wygaduje. Ba, pan wie, że to jest stek bzdur i wie pan, że ja także to wiem. Zabawne – obaj wiemy, a jednak czeka nas zabawna gra, w której pan będzie mnie przekonywał o wiarygodności swej historii, a ja będę się bronił. I pan, w końcu wierzy w to, iż zabiłem Stefana. A przynajmniej przyczyniłem się do jego śmierci. W pańskich oczach jestem przecież tylko człowiekiem, który żyje z cudzej śmierci, samemu balansując pomiędzy tą i tamtą rzeczywistością.

– Nie rozumiem...

– A co tu rozumieć? Pan pewnie sądzi, że przedsiębiorca pogrzebowy niesie z sobą śmierć, że nigdy nikomu nie mógłby uratować życia. I moja obecność u Stefana niemal w chwili jego zgonu jest potwierdzeniem pańskiego punktu widzenia.

– Nie, aż tak naiwny nie jestem, nie powiedziałem, że zabija pan samą swoją obecnością – odparł Karol podniesionym głosem.

– Czyżby? A nie bierze pan pod uwagę, że stojąc w korytarzu mógłbym na przykład podpowiadać Stefanowi kolejne ruchy? Instruować, jaki zastosować węzeł, czym posmarować sznur, czy nabrać powietrza w płuca, czy też zupełnie się go pozbyć?

– Wcale nie jestem pewien, czy pan ma taką wiedzę.

43

– O właśnie! Rzeczywiście – nie mam takiej wiedzy. Ja kocham życie bardziej, niż niejeden hedonista. Do licha – sam jestem hedonistą. Być może trudno w to uwierzyć, ale każdej nocy cieszę się, że już wkrótce nadejdzie kolejny dzień. Bo jestem pewien, że spotka mnie coś dobrego. Ja, proszę pana, złe rzeczy umiem interpretować opacznie – zna pan to przysłowie „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Ono się sprawdza. Zresztą złe rzeczy dzieją się o wiele rzadziej niż dobre. Być może dlatego właśnie tak nas bolą.

– Nie wiem, czy ma pan rację – mruknął Karol. – Złe rzeczy są tak samo powszednie, jak dobre. Może nawet powszedniejsze.

– Pan filozofuje, bo ma pan małe życiowe doświadczenie. Ja, przeciwnie – dużo już widziałem i wiem, że mam rację.

– A wracając do dziennikarza?

Przedsiębiorca wstał zza trumny, zmiął zatłuszczoną serwetkę i rzucił ją Karolowi pod nogi. – Dziennikarza? Nie ma żadnego dziennikarza. A właściwie pan jest nim. W pańskiej głowie zrodził się szalony – to znaczy szalony na pańską skalę – pomysł. Pomysł, by odkryć coś potwornego; stać się obrońcą prawa, więcej – obrońcą ludzkości przed zalewem najgorszych indywiduów, takich właśnie cynicznych morderców z zakładów pogrzebowych, jak ja. Już na samą myśl o mnie przechodzą pana ciarki. Nie, nie tak. Muszę to sprecyzować. Pan nie jest dziennikarzem. To nie pomysł narodził się w pańskiej głowie, ale ów dziennikarz, który – poza pańską kontrolą – rozpoczął swoje idiotyczne śledztwo. Pan jest tylko czytelnikiem, manipulowanym przez niego. Za sprawą tego paparazzi uwierzył pan w zło, które czai się na każdym kroku; ośmielił się pan przyjść do mnie z oskarżeniem, bo on pociąga sznurki.

– Jakie sznurki?

– Te, do których przywiązane są pańskie ręce, nogi, głowa. Niestety, drogi panie Karolu, prawda jest o wiele prostsza. A może właściwie skomplikowana. Nikt, nikogo nie zabił. Stefan powiesił się sam. Rozumie pan? Sam! Bez niczyjej pomocy – po prostu nie dał sobie rady z gnębiącymi go koszmarami. Tak, głównym powodem była kobieta. Tyle, że rozstanie z nią, a potem świadomość, że daje sobie radę bez niego, stało się dla niego powodem rosnącej z dnia na dzień frustracji. Bo – nie wiem, czy zauważył pan to na jego twarzy – on sam miał poczucie wielkiej przegranej. Jedni żyją bez jakichkolwiek marzeń, drudzy kroją marzenia do swych możliwości. Ale są tacy, i do takich należał Stefan, którzy wierzą, że zostali przez los namaszczeni do realizacji wielkich celów. I im bardziej mijają się z tymi celami, tym mocniej są

przekonani, że muszą nadrobić stracony czas. I marzą o jeszcze większej sławie, dążenia ich stają się absolutnie niewykonalne. Najpierw z pomocą przychodzi alkohol, potem – nierzadko – narkotyki. Ale alkohol nie jest cudownym środkiem, za jego pomoc słono się płaci. Przychodzi wreszcie taki moment, gdy przestaje on pomagać: nie daje ani miłego podniecenia, ani zapomnienia. Niezdobyta góra pojawia się w delirycznych koszmarach, pączkuje, zalewa horyzont. Jest pan człowiekiem inteligentnym – nie muszę panu mówić, co jest na końcu tej drogi.

Przez małe okienko w biurze wpadł promień słońca, odbijając się w butelce z winem – zapłonęła jak znicz. – Wie pan co jest na końcu drogi? – kontynuował przedsiębiorca – przepaść. To zresztą łatwo sobie wyobrazić. Drogi panie Karolu, w ogóle mam wrażenie, że ogląda pan zbyt dużo filmów, brutalnych filmów; pańskie podejrzenie mnie jest tego efektem.

– Myśli się pan, nie mam czasu, żeby chodzić do kina. Za telewizją nie przepadam. Rozumie pan, mały ekran, wszystko w miniaturze. – odparł Karol.

44

– Acha, wszystko w miniaturze... Ładnie powiedziane. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że świat w telewizji jest w gruncie rzeczy miniaturą realnego świata. Jeśli jakiś przywódca grozi nam wojną z ekranu, to nie należy się go bać, bo to tylko żalosna karykatura. Nieważne. Wobec tego czyta pan za dużo książek – nie wątpię, że kocha pan literaturę.

– Bo ja wiem...

– Wierzę w pana, panie Karolu. Przypadek Stefana był wielokrotnie opisywany w powieściach. Czytał pan może „Stillera” Maxa Frischa?

– Chyba tak, ale dość dawno.

– Stefan nie był Stillerelem. Bo Stiller, po powrocie z Ameryki, dokąd uciekł przed samym sobą i swoją miłością, Juliką, nie chciał przyznać, że jest Stillerelem. Nawet przed tymi, którzy go doskonale znali i rozpoznawali. Trochę nieporadnie, ale jednak konsekwentnie grał rolę, jaką sobie napisał. Bo, Bogiem a prawdą, każdy jest tym, kim chce być; jeśli powie mi pan, że już nie jest Karolem, tylko kimś zupełnie innym, nie uznaję pana za szaleńca. Chirurgia plastyczna dotyczy nie tylko ciała, ale i duszy. Stefan nie wypierał się, że jest tą samą osobą, która wyjechała do Ameryki, czyniąc jakąś tam – bądźmy szczerzy, niezbyt wielką – krzywdę Matyldzie. Nie przyszło mu do głowy, żeby wyprzeć się siebie, a tym samym całego bagażu przeszłości. Najgorsze, że nie mógł wyprzeć się siebie przed samym sobą. W ogóle nie miał pomysłu na swój ciąg dalszy. Po kilku latach zrozumiał, że doszedł do końca drogi; że ciągu dalszego być nie może. Czy pan naprawdę wierzy, że było coś więcej niż tylko nędzne, żalosne, wręcz prymitywne – samobójstwo?

Karol nie odpowiedział. Uznał, że nawet jeśli przedsiębiorca kłamie, to on, Karol, nie jest w stanie dalej prowadzić swego nieudacznego śledztwa. Przeprosił rozmówcę i odwrócił się, by wyjść. Jednak zatrzymał się na chwilę: – kiedy spotkaliśmy się tam, na końcu drogi, powiedział mi pan, że teraz ja i Matylda będziemy grali główne role w tym filmie...

– Że mam takie wrażenie.

– I co? Nadal pan je ma?

– Chyba się nie pomyliłem, przynajmniej co do pana. Oczywiście taka główna rola, jaki film.

– Licha?

– To pan powiedział, a ja nie zaprzeczam. Pańska wizyta u mnie, pańskie rewelacje – tego nie może grać statysta, taką rolę autor powierza wyłącznie głównemu bohaterowi. Na tym rola się kończy, wraca pan do niebytu. Może kiedyś świat filmu jeszcze się o pana upomni.

Karol kiwnął głową, ciężko westchnął i otworzył drzwi.

– Myli się pan – usłyszał jeszcze. – Ta rozmowa wcale nie musi kończyć naszej znajomości. Cały czas jestem zainteresowany przyjęciem pana do pracy. Pracy, która ma tyle wspólnego ze śmiercią, ile mają z nią nieboszczycy. Moja firma istnieje nie po to, by łączyć się z zaświatami, ale by zarabiać pieniądze. Duże pieniądze.

\*\*\*

W dniu, w którym miała się odbyć premiera „Pogardy”, woźny wywiesił na drzwiach teatru

ogłoszenie następującej treści: „Dyrekcja teatru Miejskiego uprzejmie informuje, że dzisiejsza premiera została odwołana. O zmianach w repertuarze poinformujemy wkrótce”.

Ci, którzy znali całą sprawę od strony kulisy, wiedzieli, że tym razem nie chodziło ani o chorobę aktorki, ani o strajk płacowy załogi. Ale o to, że pewien młody dziennikarz przyszedł do

45  
dyrektora teatru i opowiedział mu całą historię Matyldy, szczególnie jej pomysł na promocje sztuki i własnej osoby.

– Wie pan co – miał odpowiedzieć dyrektor – śmierdzi mi ta sprawa. Nikt nie uwierzy, że ona tak sama, z siebie. Ludzie pomyślą, że wspólnie wymyśliliśmy tę mistyfikację. Gdyby to jeszcze była naprawdę dobra sztuka, to by nam to wybaczone. Ale, co tu dużo gadać, ta sztuka to pretensjonalny, ciężki gniot.

– To dlaczego zdecydowaliście się na jej wystawienie? – miał spytać dziennikarz.

– Promocja młodych talentów, ot co. Dostaliśmy na to pieniądze z gminy, zorganizowaliśmy konkurs, ona nadesłała sztukę i ...wygrała. To była jedyna kandydatura; dzisiaj młodzi nie chcą się bawić w dramaturgię. Grać w teatrze – to owszem, zawsze to pierwszy krok na drodze na kariery filmowej. Ale pisać niskopłatne sztuki? Po co?

Dyrektor jednak nie wiedział, że pewna młoda aktorka, przeciągając się leniwie w łóżku dziennikarza, poprosiła go: – Idź do mojego dyrektora, opowiedz mu o wszystkim. Może zrezygnuje z „Pogardy”? Nie chcę grać tej idiotki, co nie umie się pogodzić z tym, że faceci zmieniają kobiety, kobiety facetów, faceci facetów, kobiety kobiety... i tak dalej. Wszystko płynie, życie, wino, gin, whisky, nalej mi jeszcze, nie chce mi się wstawać.

\*\*\*

O zmianach w repertuarze teatru Matylda dowiedziała się, jak inni, z ogłoszenia na drzwiach. Kobięca intuicja podpowiedziała jej, co się za tym kryje. Postanowiła nie pytać dyrektora o powody jego decyzji. Poszła do najbliższej budki telefonicznej, aby zadzwonić do swego przyjaciela. Ten nie bardzo chciał rozmawiać, wydukał z siebie jedynie: – widzisz, oni o wszystkim wiedzą, przycisnęli mnie, nawet policja zaczęła węszyć wokół mnie. Rozumiesz, to była ryzykowna zabawa. Krytycy dzwonią do mnie i pytają o twoje wcześniejsze utwory. Ja nie wiem co im odpowiadać. Boję się, że jak wszyscy mnie przycisną, to zacznę sypać. Właściwie już mi kazano napisać sprostowanie. No, że nie sprawdziłem tej wiadomości o twoim zniknięciu, że prawdopodobnie to był twój kaprys... Słuchaj Matylda. Dajmy temu spokój. Niedługo sprawa przycichnie, wszyscy o wszystkim zapomną. Jeszcze kiedyś wystawisz swoją sztukę. Napiszę ci znakomitą recenzję.

Matylda rzuciła słuchawkę.

Nie wiedziała, co z sobą zrobić.

W końcu przyszło jej to do głowy.

Jej miejsce przy Stefanie.

Mimo wszystko.

A raczej wbrew wszystkiemu.

I będzie z nimi Paul Delvaux.

Poszła nad tory.

Przyglądała się mijającym ją pociągom. I cały czas zastanawiała się, czy miejsce jej w wagonie, czy pod wagonem.

Raz wychylała swe ciało, by skoczyć pod pociąg i raz na zawsze skończyć to nieudane życie.

A raz odchyłała się do tyłu, w obawie przed gigantycznym cielskiem lokomotywy.

Bo jednak chciała żyć.

Nagle zrozumiała, że ta śmieszna miłość do Stefana, ten drobny incydent nie wart choćby jednej łzy, pociągnął już jedną ofiarę.

46

I wystarczy.

A przecież nie warto marnować życia – czy to poprzez śmierć, czy nieustającą żalobę po miłości – tym bardziej, że tylu mężczyzn wokół.

Kupiła bilet. Nawet nie zapamiętała dokąd. Dokądś.

A potem wyrzuciła bilet. I jak gdyby nigdy nic – wróciła do domu.

– Myślałaś, że tak łatwo ci pójdzie? Stefan nie żyje, komedia skończona?

Matylda, która właśnie wchodziła do swego domu odwróciła się i zamarła. Tak, bez żadnej wątpliwości, stał przed nią jej były kochanek – martwy Stefan. Nie, nie wyglądał na martwego, ale przecież nawet prasa pisała, że popełnił samobójstwo.

– Przecież ty nie żyjesz – wyszeptala słabo. Czuła, że za chwilę zasłabnie, obraz przed jej oczyma stawał się coraz bardziej niejasny i ciemny.

– Czyżby? – zaśmiał się Stefan – Wiem, wiem, tak mówią, a nawet piszą. Tak samo pisali, że niejaka Matylda jest znakomitą pisarką, obiecującym dramaturgiem, aktorką sztuki, która za chwilę wstrząśnie światem. Ale czy to była prawda? Trudno ocenić, czy coś jest prawdą, jeśli chodzi o rzecz nienamacalną, zwiewną, irracjonalną. A wielkość człowieka, jego wartość, jest nienamacalna, nie podlega ocenie obiektywnej. Nawet jeśli gazety piszą, że ktoś wspiął się na szczyt, wcale to nie znaczy, że ów śmieszny pagórek jest szczytem.

– Stefan – Matylda zakryła usta dłonią, jakby chciała chronić je przed atakiem słów, płynących z nie tego świata – to niemożliwe. Ty nie możesz przede mną stać i do mnie mówić. Widziano cię, wisiałeś na kołku... Spadłeś i... byłeś sztywny.

– I co z tego? Każdy może wisieć na kołku. Sztywność jest pojęciem względnym – dla jednych byłem sztywny jak deska, dla innych miękki, jak gąbka. Nie wdawajmy się w puste dyskusje – pachną akademickimi sporami. Tak, czy inaczej, jestem żywy. Tak samo, ja ty, i jak ludzie, którzy przechodzą obok nas i nie zwracają na nas najmniejszej uwagi. Nie zwracają, bo widzą mnie żywym – nie leżę na ziemi, nie śmierdę jak trup. Przeciwnie, skropiłem się dziś rano wodą Opium, Yvesa Saint Laurenta – uważasz, że to staromodny zapach? Być może, lubię rzeczy tradycyjne. Chęć życia też jest staromodna; nic tu się nie zmieniło od tysięcy lat.

– Nie popełniłeś samobójstwa?

– Oczywiście, że popełniłem. I to z dobrym skutkiem.

– Nie rozumiem – Matylda odzyskała jasność widzenia, ale obraz jej myśli (jeśli w ogóle jest coś takiego) przypominał szalejący kalejdoskop. W jej oczach Stefan raz był tym mężczyzną, którego znała od lat, a raz potworem z odstającymi, gigantycznymi uszami, wyłupiastymi oczami i krokodylimi zębami. – Nie rozumiem, jak mogłeś popełnić samobójstwo, ja mówisz – z dobrym skutkiem – i dalej żyć.

– Powiem ci, może ci się to kiedyś przyda. Rzeczywiście zacisnąłem sznur na szyi.

Rzeczywiście zawisłem na kołku, wbitym w ścianę mojego mieszkania. Tyle, że...

– Tyle, że...

– To była mistyfikacja. Taka, sama jak twoja. Obiecująca pisarka znika nagle i policja odnajduje ją na obrazie jakiegoś zakichanego Belga. Wskoczyłaś do obrazu? Skaner cię przeniósł, a może siły wyższe? Kto wie, może byłaś w zмовie z szatanem, albo – aż boję się to powiedzieć – z samym Bogiem? Nie, Bóg ma inne sprawy na głowie. A ty swój rozum. Wymyśliłaś swoje zniknięcie, nie tylko po to, żeby zainteresować ludzi swoją sztuką, ale przede wszystkim po to, żeby mnie pognębić. Zostawiłem cię, a ty odnosisz same sukcesy i jeszcze

47

porywają cię. Może nawet zabijają. Sławna i tragiczna, piękna i ubóstwiana. Gdzie mi do ciebie, gdzie mi nawet do twojej legendy?

– Nieprawda. Moje zniknięcie nie miało nic wspólnego z tobą. Fakt, liczyłam na to, że przed premierą prasa będzie dużo pisała o mojej sztuce i mnie samej. Nie chciałam, żebyś cierpiał. Stefan popatrzył w niebo, tak, jakby w chmurach spodziewał się wyczytać odpowiedź na wyznanie Matyldy. Po chwili wyszeptał: – Ale cierpiałem. Tyle, że krótko. Włamałem się do twojego mieszkania po oględzinach policji. Nie założyli na drzwiach żadnych zabezpieczeń, nawet ich nie zamknęli, chociaż gospodarz miał zapasowy klucz. Więc wszedłem. Czułem, że musieli coś przeoczyć, że szukali według swoich standardów – wiesz, odciski palców, ślady po butach, łuski, odbezpieczone granaty. Ty zresztą zostawiałaś bardzo wyraźne ślady, począwszy na fotomontażu z tobą na obrazie Delvaux, skończywszy na pamiętniku. Mieli poczucie dobrze

wykonanej pracy, nie mając pojęcia, dlaczego znikłaś. Ale ja wiedziałem, gdzie szukać prawdy. Bo fotomontaż dał mi podstawy – może nie do końca racjonalne – wierzyć, że żyjesz i rozgrywasz jakąś dziwną partię. Nie zawiodłem się.

– I... I znalazłeś prawdę? – głos Matyldy zadrżał.

– Oczywiście. Czy wiesz, co znalazłem na podłodze?

– To niemożliwe...

– A jakże, jak najbardziej możliwe. Popełniłaś błąd, pewnie w pośpiechu. Zostawiłaś to na podłodze – leżało i kłuło w oczy, powiem więcej – śmiało się wyzywająco. – Stefan poprawił krawat. Był ubrany wyjątkowo elegancko – w granatowy garnitur, typu „panama”, beżową koszulę i szary krawat. Całość dopełniały czarne, mocno lakierowane półbuty. Na tle burej fasady kamienicy, wyglądał jak model z pierwszej strony żurnalu dla kobiet.

– Nieprawda. Zresztą nie wiem o czym mówisz.

– To czemu tak zbladłaś? Cała krew spłynęła ci do stóp. Gdybyś zdjęła buty, okazałoby się, że są paśowe, niczym róże. Tak, droga Matyldo – dla policji to byłby żaden ślad. Tylko ja, mimo wszystko, mimo długiego rozstania, oraz tych miesięcy, które spędziliśmy w tej kamienicy jako sąsiedzi, którzy się do siebie nie odzywają i unikają swego wzroku, znam twoje myśli.

W tym momencie w bramie domu pojawił się Karol. Gdzieś pędził, pośpiech było widać w jego oczach. Nieprzytomnym wzrokiem powiódł po najbliższej okolicy, niemal nie zauważając Matyldy i Stefana. Już chciał biec dalej, gdy informacja wzrokowa zamieniła się w logiczną konkluzję. Stanął jak wryty. Wbił wzrok w Stefana i nie wiedział co z tym fantem począć: bać się, czy wybuchnąć śmiechem, uwierzyć w duchy, czy też w to, że Stefan nie umarł. Ale przecież widział swego sąsiada leżącego na podłodze, w tumanach mąki, czuł odór rozkładającego się ciała. A przynajmniej czuł go przedsiębiorca pogrzebowy... Na razie więc dla Karola Stefan ani żył, ani nie żył, był bardziej pojęciem, niż realną istotą, bardziej znakiem zapytania, niż odpowiedzią.

– To niemożliwe – powiedział, ku swemu zdziwieniu, mocnym głosem.

– Czyżby? – w głosie Stefana nie było ironii, a jeśli była, to dobrze maskowana.

– Byłem wtedy u pana... dam głowę, że był pan martwy. Zdawało mi się, że czuję zapach rozkładającego się ciała.

– Och, to tylko mistyfikacja, taki zapach łatwo podrobić. Nie sądzę, abys odróżniał taki zapach, od woni gnijących łodyg.

– Nie! Nie będę z panem rozmawiał! Jeśli pan żyje, jest pan przestępcą, jeśli pan nie żyje, lepiej być jak najdalej od pana.

48

– Karolku... Ty, taki realista, człowiek spragniony zawodowej kariery, dziecko przyszłości, boisz się rozmawiać z własnym sąsiadem, który jest bardziej żywy, niż samo życie?

– A pani? – Karol zwrócił się do Matyldy – Czy pani też uważa, że wszystko jest w porządku? A może zna pani kulisy tej całej mistyfikacji?

– Nie, jestem tak samo zaskoczona jak pan.

– Tylko o wiele mnie zadowolona – zaśmiał się Stefan.

– O co tu, do cholery, chodzi? – szepnęła Karol, wodząc wzrokiem po byłych kochankach.

– To długa historia, jeśli chcesz, opowiem ci ją. – powiedział Stefan. – Wyobraź sobie, że siedzisz w kinie...

– Niech pan nie błaznuje! – warknął Karol.

– Ja wcale nie błaznuje, taki początek mieści się w konwencji rozmów, jakie ze sobą toczyliśmy. Otóż siedzisz w kinie i patrzysz; na ekranie pojawia się facet. Rzecz dzieje się w jego mieszkaniu – nie jest to pałac, ale też nie chlew. Cóż on takiego robi? On przybija gwóźdź do ściany. Przybija go powoli, dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Robi sobie częste przerwy – ma dużo czasu. No, nie aż tak dużo. Przybija, przybija, co pewien czas sprawdza, czy gwóźdź mocno siedzi, ale, niestety, on ciągle się rusza. Więc nasz bohater sięga po młotek i znowu przybija, przybija.

– A jak już przybija?

– To wtedy bohater zdecyduje, jak go wykorzystać. Można na nim powiesić lustro, obraz, półkę, ale też można się...

– Powiesić

– Bravo! Tak właśnie ma myśleć widz. Tym bardziej, że bohater mamrocze pod nosem: – życie jest bez sensu, opuściła mnie kobieta, innych ja nie chcę, nic mnie już w życiu nie czeka. I tak dalej.

– I tak dalej? No, niech pan powie, o czym ów bohater mamrocze. Nie ma „i tak dalej” – widz czeka na konkrety.

– Racja. A zatem bohater bije młotkiem w gwóźdź, bije, i w końcu jego poglądy zaczynają ewoluować. Skrajny pesymizm w jego myślach ustępuje miejsca lekkiemu pesymizmowi, ten z kolei pewnej obojętności, która po tysięcznym uderzeniu młotka zamienia się w ostrożny optymizm. I pewnego dnia nasz bohater myśli sobie: – a właściwie dlaczego miałbym umierać? Na to mam czas – przed śmiercią nieźle się zabawię.

W tym momencie Matylda straciła przytomność i upadła na chodnik. Karol zaś stracił resztki zimnej krwi, i zamiast rzucić się na pomoc dziewczynie, splunął Stefanowi pod nogi i pobiegł przed siebie. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, odwrócił w stronę leżącej i zawołał: ty też nie jesteś lepsza. Znikłaś, wskoczyłaś do obrazu, chciałaś z nieba obserwować premierę swojej sztuki. Oboje jesteście siebie warci – para mitomanów, narcyzów, aktorów z kiepskiego filmu. A zdychajcie!

\*\*\*

– Spodziewałem się pana. Niech pan usiądzie. Napije się pan herbaty? Nie? Niech pan chwilę poczeka, poczyta, na stoliku obok fotela leżą różne czasopisma, bez obaw – nie znajdzie pan wśród nich „Przeglądu Funeralnego” – Przedsiębiorca pogrzebowy drżącymi rękami wyjął grzebień z kieszeni i zaczął nerwowo przyczesać rzadkie włosy. – To mnie uspokaja.

49

– Wie pan, nawet ja bywam czasem wstrząśnięty. – powiedział do zdumionego Karola. – Mój klient popełnił samobójstwo. Chciał strzelić sobie w łeb z pistoletu, ale nie miał dostępu do broni, powiedzmy, konwencjonalnej, więc gdzieś wypożyczył pistolet do wstrzeliwania kołków w ścianę. Powiedział żonie, że idzie do kiosku po proszek do prania, szedł do piwnicy, przystawił sobie lufę do skroni i wypalił. Nie uwierzy pan – kołek przebił czaszkę, zmasakrował mózg i wyszedł z drugiej strony głowy. Ale nie wyleciał – utkwiał twardo w czaszce. Można by na nim wieszać obrazy. Proszę mi wybaczyć tę uwagę. To się nazywa wisielczy humor.

– Gdyby Stefan miał taki pistolet, nie musiałyby wbijać gwoździa, na którym się powiesił. Raz dwa – i gwóźdź byłby w ścianie. – powiedział Karol.

– Czy to miał być żart?

– Nie gorszy od pańskiego. Stefan mógłby sobie powiesić obraz.

– No tak, niestety... Nie wszystkie obrazy zostaną powieszono – wystękał z ponurą miną przedsiębiorca, patrząc jednak podejrzliwie na Karola.

– Pan naprawdę nic nie wie?

– A niby co miałbym wiedzieć?

– Widziałem dzisiaj Stefana.

– O! – Przedsiębiorca uśmiechnął się do Karola z przesadną uprzejmością. – Była pan u niego. Są tam jeszcze świeże kwiaty?

– Niech pan nie żartuje! Obaj wiemy, że Stefan żyje. Nie ma wątpliwości, że w tej farsie odegrał pan swą rolę świadomie. Może nawet był pan jej mózgiem.

– No wie pan, mówić mi o mózgu w dniu, w którym szykuje do ostatniej drogi człowieka z przestrzelonym mózgiem.

– A ja mam wątpliwości, czy pan w ogóle prowadzi jakiś zakład pogrzebowy. Mam podstawy sądzić, że jest pan kompanem oszusta i cokolwiek pan powie, trąci kłamstwem.

Przedsiębiorca wyjął z biurka butelkę wódki i pociągnął z butelki spory łyk. Zapalił i rozparł się wygodnie w drewnianym fotelu, aż skrzypnęły oparcia.

– Fakt, ma pan trochę racji. – wyznał, nie patrząc na Karola. – Brałem udział w tej, jak pan to



określił, farsie, ale nie dla przyjemności. Tym bardziej nie dla jakichś korzyści materialnych. Przyznam się panu – Stefan nie jest moim krewnym, jedynie kolegą, którego poznałem w Ameryce. Pracowałem tam nielegalnie przez kilka lat na różnych budowach, wie pan, taki specjalista od robót na dachach. Pewnego dnia mój kompan spadł z dachu. Nie był ubezpieczony i szef nawet nie chciał słyszeć o pokryciu kosztów pogrzebu. Nie wiedziałem co robić – facet nie miał w kraju żadnej rodziny, nikogo, kto chciałby uronić po nim choćby jedną łzę. Zapakowałem go do worka, wrzuciłem do bagażnika mojego samochodu i zawiozłem do lasu w New Jersey. Tam spotkałem Stefana. Szedł przed siebie, po prostu, bez żadnego celu. Poprosiłem go o pomoc. Wykopaliśmy dół i pochowaliśmy biedaka. Nawet próbowaliśmy zaimprovizować jakąś mszę żałobną, nieznanego obrządku. Przypomniałem sobie, że mam na tylnym siedzeniu butelkę burbona. Wypiliśmy za duszę nieboszczyka, polaliśmy nawet alkoholem grób i... wróciliśmy do Nowego Jorku. Udało mi się przekonać Stefana, że jego miejsce jest w ojczyźnie (a już z pewnością nie na tamtym świecie, o którym myślał coraz poważniej) i dzięki moim namowom wrócił do kraju. Nie muszę mówić, że przestała go bawić kariera muzyka jazzowego – przez ostatnie miesiące grywał w metrze i to nie na peronach, ale na schodach. A to już najniższa kategoria. Próbował grać swoje kompozycje, ale miały się nijak do utworów Coltrane'a: przechodnie nie zachwycali się kawałkami bez tytułu, anonimowego autora... że się tak wyrażę. A 50

ja zrozumiałem, że biznes pogrzebowy to z kolei moje przeznaczenie. Miałem już sporo forsy, więc też opuściłem Amerykę.

Karol usiadł na fotelu, ale zaraz wstał. Czuł, że musi znaleźć swoje miejsce w tym mrocznym pomieszczeniu, by stawić czoła historii, opowiedzianej mu przez przedsiębiorcę. Podłoga zakładu zdała mu się taflą wzburzonego morza, po którym próbuje stąpać, ale zaraz utonie. Podniósł ze stolika jakieś pismo, powachlował się nim przez chwilę, po czym rzucił je na podłogę.

– A właściwie z kim mam do czynienia? – spytał zupełnie nie przystającym do sytuacji policyjnym tonem.

– Nie rozumiem...

– Co tu rozumieć? Pan o mnie wszystko wie, a ja o panu nic.

– Pan chyba żartuje! Opowiedziałem panu tak wiele o sobie, o swoich związkach ze Stefanem, a pan jedynie obdarował mnie garścią frazesów o swojej ambicji. Owszem, wiem jak pan ma na imię, ale poza tym jest pan dla mnie tajemnicą.

– Imię jest bardzo ważne. Ja pańskiego nie znam.

– Aleksander, jeśli to pana interesuje. Co pan jeszcze chce wiedzieć?

– To, czy to wszystko jest prawdą. Czy Stefan rzeczywiście żyje i dlaczego, skoro obaj widzieliśmy go martwego; czy pan faktycznie jest właścicielem zakładu pogrzebowego?

– Nie widać tego?

– Wszystko można zainscenizować, choćby samobójstwo...

– Ma pan rację – życie też można udawać. Lata praktyki nauczyły mnie nie wierzyć żywym, że żyją i umarłym, że umarli. W zasadzie jest mi wszystko jedno, czy grzebię martwego czy żywego

– liczy się moje honorarium. Ale dość tych makabrycznych żartów. To, co panu przed chwilą opowiedziałem o sobie i Stefanie jest absolutną prawdą. Spotkałem go w lesie – razem z nim pochowałem człowieka. Dzięki mnie wrócił do kraju. Dajmy temu spokój – owszem, wplątał się pan w historię, której nie powinien pan być poznać. Proszę o niej zapomnieć: jest bardziej prozaiczna, niż się panu zdawało. I Stefan i Matylda żyją – nigdy się nie pogodzą, ale nie będą już próbowali odegrać tragedii. Pewnie wyniosą się z waszej kamienicy, zostawiając ją dla pana. Panie Karolu, niech pan uporządkuje własne życie, niech pan podejmie pracę w mojej firmie, niech pan plunie na fortele byłych kochanków. Stefan pracuje w teatrze, dobrze wie, jak zainscenizować samobójstwo. Gdyby w teatrze nie potrafili tego robić, ziemi byłaby pełna martwych aktorów. Sznur, zawiązany na szyi Stefana był tak naprawdę przytroczony do skórzanych szelek, które zresztą przyniósł z teatru. Dzięki nim udało się na odegrać tę całą głupią, przyznając, farsę.

– To podłe. Naprawdę wstrząsnęła mną jego śmierć.

– Bardzo to ładnie o panu świadczy. Ale, proszę pomyśleć, co to pana obchodzi, czy Stefan żyje? To jego sprawa, nie pańska. Przecież pan żyje! Jak najbardziej, całym swoim ciałem. Może to głupie porównanie, ale pan powinien żyć tak, jakby pan tańczył tango. Raz do tyłu, dwa razy do przodu, tuląc się do partnerki; niby czule, ale zdecydowanie, namiętnie, ale brutalnie. Jej jedynie zadanie, to podążać za panem, dać się panu prowadzić.

Karol nie potrafił jednak wyobrazić sobie owej partnerki i przed jego oczyma stanął obraz tancerza, smętnie poruszającego się samotnie po parkiecie.

– Tango? Drogi panie, ja mam inne ambicje! Nie jestem tancerzem, ale ekonomistą.

I pośpiesznie opuścił zakład pogrzebowy.

– Pan jest onanistą – usłyszał za sobą, choć nie był pewien, czy to był głos przedsiębiorcy.

Mógł to być jego własny głos.

51

\*\*\*

Matylda ocknęła się w pokoju Stefana.

– Gdzie ja jestem? – szepnęła słabo, choć dobrze wiedziała, że leży na kanapie swego byłego kochanka.

– Jesteś tu gdzie twoje miejsce – usłyszała od niego.

– Bo ja wiem...

– Nie musisz. Ja to wiem. Co wcale nie znaczy, że po zostaniesz na tym miejscu. Ludzie dążą do miejsc, które los im przeznaczył, ale jakoś się, cholera, mijają z nimi.

– A kiedy mnie tu nie będzie. Wypędzisz mnie? Kopniakiem czy perswazją?

– Nie bądź cyniczna – cynizm nie pasuje do twojej bladej twarzy. Sama kiedyś się podniesiesz i wyjdiesz.

Stefan wyszedł do kuchni, po czym wrócił ze szklanką wody i ręcznikiem.

– Napij się wody, dobrze ci zrobi – powiedział i podetknął Matyldzie szklankę do ust.

Dziewczyna wypila kilka łyków i opadła na poduszkę.

– No, i...? – Stefan uważnie spojrzał w jej oczy.

– I nic. Tak sobie leżę u trupa.

– Oboje jesteśmy trupami; takie sobie role wyznaczyliśmy.

– Stefan, powiedz mi – Matylda spojrzała poważnie na swego dobroczyńcę – co takiego znalazłeś w moim mieszkaniu? Skąd wiedziałeś, że ja zainscenizowałam całe to moje zniknięcie? Pamiętam, że zawsze uwielbiałeś kryminały, ale nie wierzę, że można się z nich czegoś nauczyć. Stefan uśmiechnął się i po raz pierwszy od lat pogładził ręką policzek Matyldy.

– Znam ja cię, znam.

– Czyli...

– Owszem, chciałem odebrać sobie życie... Myślałem – naiwny – że rzeczywiście nie ma cię wśród żywych, że znikłaś po to, by już nigdy nie powrócić. Siedziałem w swoim pokoju i patrzyłem na pewien kołek...

– Jaki kołek?

– Kołek życie i śmierci. Nieważne – to głupio brzmi; taki nieudany patos. Patrzyłem, patrzyłem i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że na świecie nie ma już dla mnie miejsca. Wobec ciebie czułem się winny, fakt, z innymi kobietami po prostu mi nie wyszło. Marzenie o wielkiej karierze – dla której przecież rozstałem się z tobą – zamieniły się w... Cholera, nie przychodzi mi do głowy żadne porównanie. Gdyby to był amerykański film, powiedziałbym, że spieprzyłem sprawę. I już, już miałem skończyć ze sobą. Gdy jakiś anioł stróż, może mój własny, a może taki bez przydziału, co to się zapodział w moim mieszkaniu, powiedział mi: Stefan, sprawdź co się z nią stało. Być może ona gra jakąś swoją grę, nie wartą twojej śmierci. Umrzeć najłatwiej – trudniej żyć. Przyznasz, że anioł nie powiedział niczego odkrywczego, ale skłonił mnie do spaceru na czwarte piętro.

– To znaczy do mojego mieszkania?

– Tak. – Stefan wygrzebał z kieszeni spodni pomietą paczkę papierosów i wyciągnął z niej pudełko zapalek. Wsadził sobie zapalną do ust, przez chwilę pobawił się nią, wypluł na podłogę,

po czym usiadł na łóżku, przy Matyldzie. – Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedłem do środka i od razu – chyba za namową anioła – skierowałem się do łazienki. I wiesz co tam zobaczyłem?

52

– Chyba wiem – odparła ponuro.

– Na wszelki wypadek powiem: nic nie zobaczyłem. Nie było ani szczotki do zębów, ani mydła, ani szamponu, ani jakichkolwiek kosmetyków. Przyznasz, że osoba, która zamierza targnąć się na swoje życie, rezygnuje z maseczki kosmetycznej na chwilę przed spotkaniem ze Świętym Piotrem. Porywacze – zakładając kolejny wariant – także nie troszczyliby się o twoje higieniczne potrzeby. Miałem jasność: to jest inscenizacja. Nawet się ucieszyłem, że nie muszę już kończyć ze sobą. Bo mimo wszystko czuję jakąś niewytłumaczalną słabość do życia.

\*\*\*

„Jeśli ten człowiek, który wstrzelił sobie kulek w łeb rzeczywiście nie żyje, to jest on jedynym trupem w całej tej historii” – myślał Karol biegnąc przed siebie. Biegł bez celu, ot tak, byle się zmęczyć. Zdawało mu się, że przemierzył już całe miasto wzdłuż i wszerz, choć tak naprawdę biegł ciągle tą samą, wcale nie najdłuższą, aleją. – „Stefan żyje, Matylda żyje, choć nie bardzo wiem dlaczego i po co? Ciekawa historia okazuje się w końcu błazenadą, a błazen – bo zakładam, że jest nim Stefan – bawi się w najlepsze. Ale kim się bawi? Matyldą? Nie, on tak naprawdę cały czas ją kocha; gotów jest odegrać każdą rolę, żeby tylko jej zaimponować. Tak! Nie upokorzyć, nie przestraszyć, ale zaimponować. Pieprzony sufler”.

Kiedy Karol się zmęczył, wstąpił do pobliskiego baru na szklaneczkę whisky. I wtedy spostrzegł, że bar coś mu przypomina. Tak, jakby już tu kiedyś był, choć gościł tu po raz pierwszy. Nad barem świeciła neonowa reklama jakiegoś piwa, a z głośnika sączył się jazz.

– To ten bar z filmu Stefana! – wykrzyknął podniecony barmanowi w twarz.

– Jakiego znowu Stefana? – spytał kwaśno barman. Dochodziła pierwsza w nocy, a lokal był otwarty do ostatniego gościa. Karol był jedynym gościem.

– Tego Stefana co się powiesił. Nieskutecznie. To znaczy nieskutecznie, ale zgodnie z planem.

– Wyglupiasz się koleś, a mi powieki opadają na oczy. I ledwo cię widzę.

– Mam wrażenie, że już gdzieś widziałem to miejsce. Przeżywam chyba deja vu.

– A przeżywaj sobie... Ja nie mam takich problemów. Ciebie widzę po raz pierwszy

\*\*\*

Kilka ciężkich uderzeń w drzwi wyrwało Stefana z zadumy. Myślał o swoim rewanżu wobec Matyldy i następnych krokach w stronę jej odzyskania. Miał niejasną pewność, że dziewczyna tylko czeka na jego inicjatywę. Niechętnie wstał z fotela, zaplął koszulę i ruszył w stronę drzwi. Po drodze spojrzął na kulek, na którym jeszcze niedawno „wisiał”. Wspomnienie ogłupiałej i przerażonej twarzy Karola rozbawiło go. Ale dobry nastrój opuścił go natychmiast, gdy zobaczył przed sobą marsowe oblicze Karola.

– Ja ci to wytłumaczę – zaczął niepewnie, nie wiedząc, czy powinien wpuścić swego sąsiada do środka.

– Nie potrzebuje twojego tłumaczenia – wiem tyle, ile mi muszę. I to mi wystarczy.

– Może wejdiesz do środka? – Stefan uchylił szerzej drzwi. Karol bez wahania skorzystał z zaproszenia. Gdy drzwi zamknęły się za jego plecami powiedział pierwszy: – Wszedłem na idiotę.

53

– To nie tak... Posłużyłem się tobą, fakt, ale to było niezbędne. Takie małe fałszerstwo w dobrej sprawie. Wiedziałem, że dzięki tobie wiadomość o mojej śmierci opuści mury naszej kamienicy i wcześniej czy później dotrze do Matyldy.

– Bardzo przeżyłem twoją śmierć... – szepnął Karol.

– Tym bardziej powinno cię ucieszyć moje zmartwychwstanie.

– Cyniczny, bezczelny czy bezradny?

– Wszystko po trochu. W gorszej sytuacji od ciebie jest Matylda – ona oplakiwała moja śmierć dwukrotnie. Kiedyś, będąc w Ameryce, poprosiłem mojego kumpla, żeby napisał do niej list, że

utonąłem w oceanie. Podpisał się Henry – Stefan roześmiał się. – A to wcale nie był żaden Henry.

– Tak, miał na imię Aleksander.

– Skąd wiesz? – Dobry humor opuścił Stefana natychmiast. – Chyba ci o tym nie opowiadał?

– Trochę opowiadał, trochę sam się domyśliłem. Patrz – twoją śmierć przeżywała Matylda, przeżywałem ja i tylko ty, główny aktor, niczego nie przeżywałeś. Pamiętasz kiedy pierwszy raz kazałeś mi wyobrazić sobie twój film? Wtedy uważałem cię za zwyczajnego czubka, ale sympatycznego i obdarzonego dużą wyobraźnią. Słuchałem cię więc i to nawet z zainteresowaniem. Nie, nie z przyjemnością – ani ty, ani twoje opowieści nie są sympatyczne – ale to bez znaczenia. Niepostrzeżenie stałem się częścią tego filmu, a przynajmniej nieodłącznym jego widzem. Dziwny film, w którym widz jest aktorem, co? Potem dnie i noce myślałem o tobie, o historiach, które opowiadałeś w trzeciej osobie, ale z jasną intencją, aby traktować je, jako twoje własne. „Jaki on skomplikowany, z jakim bagażem przeżyć” – myślałem o tobie. A ja nie miałem żadnej historii, moja droga wydawała się prosta i z jasnym celem na horyzoncie. Kiedy zobaczyłem, jak wiesz na kołku, cholernie cię pożałowałem i obiecałem sobie, że moje życie musi być zupełnie inne: żadnych absurdalnych namiętności, żadnych rozstań i samobójstw. Nie wiedziałem, głupi, że dla ciebie była to doskonała zabawa. No, powiedz była to zabawa?

– Nie wiem, chyba nie do końca. Trudno się bawić, dyndając na sznurku. Chyba, żeby potraktować to jak huśtawkę...

– Jeszcze te woreczki z mąką! Potrzebna ci był ten Szekspir dla ubogich?

– Chciałem wywołać większe wrażenie na ewentualnych widzach.

– Więc bawmy się dalej w efekty specjalne – powiedział twardo Karol i wyciągnął z kieszeni spodni pistolet. Stefan wytrzeszczył oczy i cofnął się krok do tyłu. Skąd miał wiedzieć, że tym razem to Karol dopuszcza się mistyfikacji i dzień wcześniej kupił straszaka?

– Dlaczego miałbyś to zrobić – spytał. – Naprawdę masz mi za złe, że odegrałem przed tobą rolę umarlaka? Tak bardzo cię tym zraniłem?

– Każdego byś zranił – odparł Karol i pociągnął za spust. Nie pomyślał jednak, że serce Stefana może nie wytrzymać tej króciutkiej chwili, gdy pokojem wstrząsa przeraźliwy huk, a z kufy pistoletu wyskakuje błysk wystrzału. Stefan upadł na podłogę, ciałem jego targnęło kilka skurczy, po czym zamarł.

– Znów udajesz, skurwysynu. Uważaj, bo sam kiedyś uwierzysz we własną śmierć. – syknął Karol.

Stefan nie odpowiedział.

– Przyszedłem cię ukarać. Teraz już jesteśmy kwita.

Żadnej odpowiedzi.

– Udajesz trupa? Chcesz mnie wystraszyć. Mam jeszcze kilka naboí. Jeśli nadal tak będziesz leżał, to strzelę ci prosto do ucha – ogłuchniesz idioto.

54

Milczenie.

I odgłos wystrzału.

I jeszcze jeden

I jeszcze...

A potem krzyk: – od tego się nie umiera! Dlaczego mi to zrobiłeś?

\*\*\*

– Piękna jesteś – szepnęła Matylda gładząc rozgrzany korpus lokomotywy – chociaż nie parowa. Ale teraz mam ochotę pieścić męskie ciało. Nie będziesz mi miała za złe, że będziemy się widywać rzadziej? Bo coś czuję, że, tak jak pociąg, wracam do stacji, z której wyjechałam. Ta stacja nazywa się Stefan. Głupia nazwa, nieprawdaż? Ale ja też jestem głupia. Chociaż, jak się na tym głębiej zastanowić, to nie tak bardzo.

Lokomotywa nie odpowiedziała.

Lokomotywy nie umieją mówić.

\*\*\*

Siedzieli w drink barze, stylizowanym na późne lata 50. w Las Vegas. Przy połączonych drzwiach wejściowych stała samotnie, niczym ołtarz, szafa grająca, która tak naprawdę powinna się nazywać szafą błyskającą. Feerie świateł – fioletowych, liliowych, pomarańczowych – dobiegały też spod blatu baru, za którym ubrany w nieskazitelnie białą koszulę barman z energią mieszał drinki. Lokal nazywał się „Rajski Kicz” i nie był to kicz wstydliwie skrywany, w niepewności, że właściciel miejsca nie jest do końca pewien swojego plastycznego smaku, ale kicz demonstracyjny, wręcz – zwycięski, bezwstydlonie kokietujący klientelę. Ta zresztą nie była specjalnie liczna, być może ze względu na porę – minęła już dawno północ i na posterunku pozostali wyłącznie najbardziej wytrwali biesiadnicy. Przy barze siedziało dwóch mężczyzn: jeden, na oko, niedawno przekroczył dwudziestkę, drugi zaś zbliżał się do wieku, w którym mężczyzna ma prawo, bez wstydu, osiwieć.

– Widzisz... ja nie jestem taki stary, na jakiego wyglądam. – powiedział ten starszy i wychylił do dna szklaneczkę. Skrzywił się wprawdzie, ale widać było, że zawartość szklaneczki sprawiła mu przyjemność. – A zresztą sam powiedz, ile dałbyś mi lat?

– Bo ja wiem? – młodszy wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że pytanie wprawiło go w spore zakłopotanie.

– Daj spokój – uśmiechnął się starszy – Nie musisz się krępować. Przecież nie powiesz, że wyglądam na setkę. Na osiemdziesiąt też nie... Wszystko, co poniżej osiemdziesiątki, akceptuję.

– Problem w tym, że trudno przypisać cię do jakiegoś wieku. Masz sporo zmarszczek, to fakt, zmęczone oczy – niewątpliwie, ale nie jesteś stary. Starość to coś więcej, niż to, co widać na pierwszy rzut oka. Starość to kilka warstw – ta na wierzchu jest stara, ta pod spodem – tak samo. I jeszcze trzecia.

– Filozof z ciebie, umiesz zaglądać ludziom pod skórę, może jeszcze widzisz ich dusze?

– Innemu bym powiedział, że widzę, ale ty wiesz, że tak nie jest. No więc, mam rację, że nie jesteś taki stary?

– Zależy jaką starość masz na myśli... Ale faktycznie mam mniej lat, niż ma ich moja twarz. Kiedyś wyglądałem jak smarkacz, nawet wtedy, kiedy już pracowałem... Myśleli, że chodzę do 55

szkoły, a ja... – starszy się gorzko zaśmiał i na chwilę zamilkł. Po chwili dokończył: – a ja zarabiałem pieniądze. Nieduże pieniądze, zawsze mniejsze, niż chciałem. Niby nic w tym dziwnego – przeważnie pragniemy być chociaż odrobinę bogatsi, niż jesteśmy. Ale miałem chłopie aspiracje, wielkie aspiracje. Pracowałem w teatrze, ale sztuka gównie mnie obchodziła. Myślałem – firma jest firma, jak będzie lepiej zarządzana będą większe pieniądze. Teatr to jednak nie bank... Wtedy ktoś mi zaproponował pracę w... uśmiejesz się, w zakładzie pogrzebowym. I kto wie, może bym nieźle tam zarobił, bo takie przedsiębiorstwo – jeśli nie ma wielkiej konkurencji – skazane jest na wieczny sukces, ale...

– Ale wtedy go zabiłeś?

– Nie zabiłem! – starszy poderwał się na równe nogi, zrzucając z baru szklanekę – strzeliłem ze straszaka! Jak mogłem zabić z pistoletu, w którym nie było kul?

– Przecież mówiłeś, że zmarł po twoim strzale.

– To wina jego słabego serca, a nie moja.

– Gdyby zabiła go kula z twojego pistoletu, powiedziałbyś, że miał zbyt cienką skórę.

– Dobrze, już dobrze, nie baw się w sędziego. Był sędzią prawdziwy – skazał mnie na dziesięć lat. Nie było żadnej łaski, moje dobre sprawowanie okazało się gównie warte. Pięć lat temu wyszedłem na wolność. I wiesz co?

– Co?

– Przed więzienną bramą czekał na mnie ten właściciel zakładu pogrzebowego, który dziesięć lat wcześniej zaoferował mi pracę. Kupił mi ubranie, pozwolił u siebie mieszkać prawie przez pół roku, zaproponował robotę. To było najbardziej zabawne... Jasne, że przyjąłem.

– Ten facet, którego zabiłeś, czy jak tam to nazwać...

– Stefan.

– Tak, Stefan. On miał, jak mówiłeś dziewczynę. Bardzo rozpaczała po jego stracie?

– Bo ja wiem? Kiedyś odwiedziła mnie w więzieniu. I powiedziała, że długo o tym myślała i doszła do wniosku, że dałem jej drugie życie. Mogła wreszcie przestać myśleć o człowieku, z którym nigdy tak naprawdę nie była, ale bez którego nie mogła normalnie jeść ani spać. Wyjechała z miasta i – jak się to mówi w książkach – słuch o niej zaginął.

– A ta aktorka, dla której straciłeś głowę? No, ta, która ta szybko cię porzuciła dla jakiegoś dziennikarza.

Starszy, choć teraz już wiemy, że jest nim Karol, uśmiechnął się, jakby pamięć podszeptęła mu pomysł na odpowiedź.

– Wyobraź sobie, że to film – rzekł, próbując powtórzyć to, co wiele lat temu powiedział mu Stefan. – Dwóch facetów, którzy nigdy się przedtem nie widzieli, siedzą obok siebie przy barze. Neonowe reklamy, świecące na fioletowo pod sufitem, gęsty papierosowy dym, gdzieś z grającej szafy dobiega muzyka Coltrane’a. Stołki uwierają ich dupy, piwo się kończy, wentylator smętnie tnie rozgrzane powietrze ponad ich głowami. Czyli, albo trzeba iść do domu, albo kogoś poznać. Jeden z nich odwraca się więc do drugiego i pyta: – Czy był pan kiedyś z prostytutką?

– Pewnie, że byłem – odparł towarzysz Karola, w przekonaniu, że pytanie było skierowane do niego, a nie do fikcyjnego bohatera.

– To teraz pewnie modne – rzucił od niechcenia Karol. – Kiedyś wizyta u kurwy była grzechem. Dzisiaj jest cnotą.

Chłopak chciał o coś zapytać, ale spostrzegł, że Karol myślami jest gdzieś daleko – że nawet nie usłyszy pytania. Milczenie trwało kilka minut – chłopak zdążył wypić swojego drinka, zamówił drugiego i w momencie gdy dotykał ustami szklanki usłyszał:

56

– Kim chciałbyś być w życiu, zakładając oczywiście, że to co robisz, jeśli coś robisz, nie jest twoim docelowym zajęciem?

– Bo ja wiem? – zamyślił się chłopak. – Podoba mi się robota barmana. Stoisz, ubrany w elegancką koszulę za barem, poznajesz ciekawych ludzi, rozmawiasz z nimi, nalewasz im to, czego sobie zażyczą, albo jeszcze lepiej – odkrywasz przed nimi wspaniały, kolorowy świat drinków twego pomysłu. Tworzysz własne światy: przeciwstawne sobie żywioły mieszają się w jedno w małych szklankach – patrzysz, jak kolory toczą ze sobą boje. A goście siedzą na przeciw ciebie i podziwiają, jaki z ciebie fajny gość. I opowiadają o wszystkim, co ich boli i cieszy. Jeśli będziesz ich słuchał, kiedyś napiszesz o tym książkę. Albo nie napiszesz, ale to już będzie zależało od ciebie...

– A nie od losu?

– Tak jest – twój wybór.

– Też kiedyś chciałem mieć wybór.

– I już nie chcesz?

– Nie, dobrze jest, kiedy decyduje o tobie jakaś siła wyższa.

– Nawet wtedy kiedy pcha cię do więzienia?

– Tak, nawet wtedy. Bądź co bądź miałem dużo czasu na myślenie.

– I co wymyśliłeś?

– Rzecz w tym, że nic. Ale mogłem. Mój wybór. Poza tym jest takie powiedzenie: ryba nie myśli, bo ryba wszystko wie...

– Ty jesteś tą rybą?

– Tak. Nie wiem tylko jednego, może ty mi wytłumaczysz. Pamiętam doskonale kiedy to wszystko się zaczęło – pewnego ranka spojrzalem do lustra: było pęknięte. Każdego następnego ranka to pęknięcie było coraz bardziej widoczne. Okazało się, że to pękało życie Stefana: śruba, na której miał się powiesić, wbijała się w szkło. Tylko że tamtego ranka widziałem w tym lustrze coś bardzo dziwnego – jakiś lamus, skład antyków, w każdym razie nie mój pokój. Tego jestem pewien.

– Na pewno nie byłeś pijany albo naćpany?

– Nie, wtedy prawie nie brałem alkoholu do ust. O narkotykach też nie było mowy. To nie było przywidzenie. Potem nigdy już ten widok się nie pojawił.

– Hmm. Widzisz, jestem realistą, nie będę nawet zgadywał, co to mogło być. Moim zdaniem niczego takiego nie było. Może miałeś gorszy dzień...

– Gorszy dzień? To jest jakieś wytłumaczenie – w głosie Karola nie był ironii, można było nawet odnieść wrażenie, że z braku innych, godzi się z wersją chłopaka, choć niczego nie wyjaśniała. – Myślisz, że żadnej roli nie odegrała tu metafizyka?

– Metafizyka... Nie ma czegoś takiego. Są tylko sploty okoliczności. Powiem ci coś – jeśli widziałeś w lustrze stare meble, to znaczy, że naprawdę tam były. I znikły. Przestań o tym myśleć, bo w końcu dojdiesz do wniosku, że masz nierówno pod sufitem.

– Może – Karol rzucił na ladę banknot, wstał i podał rękę chłopakowi – Miło mi się z tobą rozmawiało. Nie znałem cię wcześniej, nie będę cię znał później. Byłeś moją gwiazdą wieczoru. Ruszył w stronę wyjścia. Gdy naciskał klamkę drzwi, usłyszał za sobą głos chłopaka:

– Kupiłeś już sobie nowe lustro?

Pokręcił przecząco głową: obiecał sobie, że resztę życia spędzi bez lustra.